



№ 31.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 1 sierpnia 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3½.

TOM II.

Tresc numeru. Jan Nepomucen Głowacki (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Odezwa do redakcyi. — Przegląd polityki zagranicznej. — Zakład wód mineralnych sztucznych przy ogrodzie Krasieńskich w Warszawie (z drzeworytem). — Widok Łazienek królewskich w Warszawie, podczas widowiska w tancecznym teatrze na wyspie (drzew.) — Kronika zagraniczna, przez J. I. Kraszewskiego — Rozmaitości. — Wiersz Zygmunta Krasieńskiego. — Nasze typy: stróż folwarczny i faktor małego miasteczka (z dwoma drzeworytami). — Szachy. — Rebus. — Wycieczka na Łomnicę tatrzańską 26 lipca 1865 r. — O podaniach i klechdach ludu z okolic Warszawy, przez Mściława Kamińskiego. — Obrazki z dawnych czasów, przez Wielisława (dokonczenie).

Jan Nepomucen Głowacki.

kartonach i kości słońowej, w czem za wzór obrał sobie Endera. Po powrocie z Wiednia został mianowany nauczycielem rysunków w liceum św. Anny,

zagranicę, mianowicie do Rzymu, w celu wydoskonalenia się w malarstwie i poznania mistrzów szkoły włoskiej, bawił w Rzymie przez półtora roku. Tam przejął się duchem starożytnego klasycyzmu, który w późniejszych jego utworach, jak np. w obrazie mitologicznej Ledy, tak przepysznie się objawił. W r. 1837 otrzymał Głowacki dyplom na członka Towarzystwa lekarskiego, połączonego z uniwersytem Jagiellońskim, którego prezesem był podówczas rektor uniwersytetu Józef Wincenty Łańcucki dr. teologii. Przyjęty do poważnego tego grona na posiedzeniu d. 18 marca 1837 r., otrzymał także tytuł nadzwyczajnego profesora uniwersytetu Jagiellońskiego.

Do rzędu najznakomitszych malarzy polskich należy zmarły przed dwudziestu laty w Krakowie Jan Nepomucen Głowacki. Zwłaszcza malowanie krajobrazów z natury doprowadził on tak wysoko, jak żaden ze społecznych mu malarzy krajowych. W tym rodzaju śp. Głowacki był rozmiłowany i zwykle lato poświęcał na wycieczki, dla zdejmowania celniejszych widoków, których właściwe piękności i charakter odtwarzał natchnionym, rzecz można, pędzlem. Bogate w piękności okolice Krakowa i pobliskie Tatry dostarczały mu obfitego zasobu. Jakoż pozostawił wiele olejnych krajobrazów, zdjętych z natury, tworzących cenną widoków miejscowych galerią.

Z rodziców niezamożnych i nie zajmujących wysokiego towarzyskiego stanowiska, prawdziwym jedynie talentem i pracą zjednał sobie Głowacki w świecie artystycznym imię, zaszczytnie w dziejach sztuki naszej zapisane. Był on synem Błażeja Głowackiego, organmistrza, mieszczanina krakowskiego. Urodził się w Krakowie w roku 1802 i tamże pobiierał nauki w liceum św. Anny. Te ukończywszy, gdy się w nim chęć i talent do malarstwa coraz bardziej rozbudzały, przeszedł do akademii sztuk pięknych, gdzie początki rysunków, a następnie malarstwa pobiierał od profesorów Brodowskiego i Stachowicza. W r. 1826 wysłany został kosztem rządu do Pragi i do Wiednia, do tamtejszej akademii sztuk pięknych, gdzie przez lat trzy kształcił się na artystę pod przewodnictwem Steinfeldta, poświęcając się najwięcej zdejmowaniu olejno widoków z natury. Ćwiczył się równocześnie w akwareli i malowaniu



Jan Nepomucen Głowacki. (Podług fotografii Szajnoka we Lwowie, zdjętej z portretu familijnego).

na miejscu Sontaga, a oprócz tego udzielał w szkole technicznej nauki malowania krajobrazów. W roku 1835 wysłany powtórnie kosztem rządu w podróż

jęciu starożytnego stylu. Znawcy chwalał nadewszystko przepyszne oświetlenie Ledy. W innych obrazach charakterystycznych, w studyach i portretach,

Wnet też pozyskał sławę jako pierwszy ze współczesnych artystów krajowych w malowaniu krajobrazów. Temu rodzajowi poświęcał się głównie z największym zamiłowaniem. Co rok podczas feryj letnich udawał się na wycieczki albo w Tatry, albo też w okolice Krakowa, znane z uroczych piękności, do Krzeszowic, Ojcowa i Pieskowej skały, do Alwernii, Tęczyna, w dolinę Prądnika. Tam studyował naturę izdejmował widoki okolic. Znakomity i właściwy pod tym względem znawca Wincenty Pol, powiada o nim, iż nikt tak dobrze jak Głowacki nie pojął dotąd natury miejscowej, jej wód, jej skał, jej nieba, czy to malował chłodne, wspaniałe krajobrazy tatrzańskie, czy słoneczne ziemie krakowskiej widoki.

Nie poprzestawał wszakże Głowacki na malowaniu krajobrazów, lubo w tym rodzaju celował. Jego Leda wychodząca z kąpeli i Herkules świadczą, jak to już wyżej powiedzieliśmy, o głębokich studyach klasycznych i pojęciu starożytnego stylu. Znawcy chwalał nadewszystko przepyszne oświetlenie Ledy. W innych obrazach charakterystycznych, w studyach i portretach,

znać pedzel śmiały, dowodzący pewnej ręki, i nałożenie barw silne, przypominające szkołę Rubensowską.

Robił wiele portretów olejnych i rozmiłował się później w miniaturach; kopiował też obrazy Stroberga i Ammerlinga z taką wiernością, tak dobrze umiając odgadnąć ducha i właściwości wzoru, iż trudno było dopatrzeć różnicy pomiędzy oryginałem a kopią. W jednym ze swych obrazów, przedstawiającym widok Ojcowa, umieścił portret księżny Sanguszkowej, malowany sposobem miniaturowym w całej postaci, łącząc na jednym płótnie dwa rodzaje malowidła, równie doskonale wykonane. Za naszych czasów zaginął prawie zupełnie ten rodzaj miniatury portretów, w którym celowali artyści drugiej połowy zeszłego wieku.

Na wystawę warszawską w r. 1845 przesłał Głowacki dwadzieścia obrazów. Oprócz widoków okolic Krakowa i Tatrów, znajdowała się pomiędzy nimi Leda, Św. Paweł, Dziewczyna marząca, Widok jeziora Hallstadt i t. p. Obrazy Głowackiego należały do najpiękniejszych na wystawie i znalazły pochlebne oceny, a kilka z nich nabyto.

Głowacki pracował bardzo gorliwie, pracował nad siłą, to też przyplącił to zdrowiem i śmiercią w sile męskiego wieku. Popadłszy w ciężkie i długotrwałe cierpienia, które z wolna siły jego wycieńczały, umarł 27 lipca 1847. Ożeniony w r. 1832 z panną Maryą Bankówną, pozostawił dwoje dzieci, syna i córkę. Pozostałe po nim obrazy sprzedano po części przez licytację. Niektóre rodzina dla siebie zostawiła i te są w posiadaniu dzieci jego. Wiele obrazów Głowackiego nabył śp. Zieliński, do swego słynnego zbioru w Kielcach. Widoki Ojcowa znajdują się u właściciela tej majątności. W r. 1836 wydał księgarz krakowski Friedlein „Dwadzieścia cztery widoków malowniczych miasta Krakowa i jego okolic, zdjętych z natury przez Jana Nep. Głowackiego.“ Wyszyły litografowane w Paryżu u Engelmana przez Jacotteta i Dawida. Rastawiecki w „Dykcjonarzu malarzów polskich“ wylicza wszystkie jego obrazy; pominął jednakże kilka portretów, mianowicie Teofila Żebrowskiego, Henryka ks. Lubomirskiego, Władysława ks. Sanguszki, pułkownika Starzyńskiego, dr. Brodowicza i własny portret artysty.

Oprócz tego pozostawił Głowacki wiele szkiców, akwari i miniatur, oraz studyów krędą czarną i białą. Dzieła jego są dziś bardzo poszukiwane i przepłacane.

Kronika tygodniowa.

Jeden z wydawców miejscowych wpadł w tych czasach na heroiczny pomysł.

— Książki nie odchodzą, rzekł on sam do siebie, ale byłby może sposób ożywienia choć trochę wydawnictwa miejscowego. Żeby dokazać tego, trzeba zrobić tanie, a więc przystępne wydanie jakiego bardzo popularnego autora... A prawda, mam go już; pomysł wyborny... I nie myśląc wiele, postarał się o paszport, wsiadł do wagonu i ruszył do Galicji. W kilkadziesiąt godzin był już we Lwowie.

Ale niestety! Fredro, ukochany nasz komediopisarz, który był rzeczywistym celem i powodem tej podróży, okazał się nieubłagany. Zawiał się na scenę i na druk nawet. Wszelkie najbardziej przekonujące argumenty okazały się bezskutecznymi. Nietylko o nowych dziełach ani słyszeć nie chciał, ale o powtórzeniu dawnych wydań nie dał sobie mówić. Naprawdę zrozpaczony wydawca przekładał mu korzyść ogółu, zbawienny wpływ jaki dobry początek taniego wydawnictwa wyrzuci na handel książkowy u nas, konieczność wreszcie przerwania upartego milczenia: wszystko okazało się nadaremne.

Więc podróżnik warszawski uszanował wolę autora i powróciwszy z gołymi rękami, nie chciał nadzyciem dobijać się tego, czego prawnie uczynić nie mógł.

A jednak w tym przedsięwzięciu nietyle szło o zysk, ile o rzeczywistą korzyść literatury, i wydawca nasz, naśladując dawniejsze przykłady, byłby niewątpliwie znalazł takich, którzyby usprawiedliwił jego postępowanie.

* * *

Nie tego zdania był pan Jagielski, poznański księgarz i wydawca.

Dość już dawno temu ogłosił on prospekt na wydać się mający przez niego kompletny zbiór dzieł Syrokomli.

Wówczas cała prasa peryodyczna podniosła jednoznacznie głos przeciwko temu zamiarowi.

Dowodzą panu Jagielskiemu, że nie ma prawa pozbawiać rodziny po ulubionym poecie ostatniego funduszu, jaki dla niej mógł sposób ratunku stanowić. Uprzedzono go, że opiekuni tej rodziny, że ci którzy przyjęli na siebie posłannictwo trośczenia się o los wdowy i sierot autora Dęboroga, zamierzają sami wydać na widok publiczny wszystkie dzieła zmarłego, dopełniając rzeczy znane już, niedrukowanymi rękopismami, i poruczając kierunek tego całego przedsięwzięcia ludziom mającym prawo wzięcia na siebie odpowiedzialności za kompletną i poprawną edycją dzieł poety.

Zapytywano się wreszcie, na zasadzie jakiego układu z rodziną lub opiekunami, czy porozumienia się z wydawcami których umowy z autorem zawarte nie wyekspirowały jeszcze, pan Jagielski przystępuje do tego przedsięwzięcia.

Sprawa ta zresztą dobrze jest znana czytelnikom Tygodnika, sami bowiem kilkakrotnie podnosiliśmy głos w obronie świętych praw sieroctwa, tak niesłusznie pokrzywdzonych.

Pan Jagielski próbował odpowiadać. Wspominał coś o zamiarze udzielenia honorarium, nie wskazując ani cyfry, ani terminu, nie wzmiankując nawet wyraźnie z kim i na jakich zasadach umowa miała być zawartą. Przyparty wreszcie, jak to mówią, do muru, zamilkł na pewien czas i zdawało się że sprawa ta poszła w odwołkę.

Obecnie dowiedzieliśmy się, że egzemplarz tego całkowitego wydania, obejmującego dziewięć sporych tomów, przybył już do Warszawy.

Pospiesziliśmy obejrzyć na własne oczy ten dowód niesumienności wydawniczej i przekonaliśmy się że tak zwany kompletny zbiór, na który wysoka cena nałożona została, szło tu bowiem głównie o dobrą spekulację, obejmuje same tylko przedruki, bez żadnego uporządkowania, bez poglądu krytycznego, bez koniecznego dokończenia wreszcie. Brano bez wyboru co tylko podpadło pod rękę, byle dalej, byle prędzej, byle zapełnić owe dziewięć tomów. Brano, nie uwzględniając smutnego położenia rodziny, nie zapytawszy się nawet dawniejszych wydawców, czy pozwalają na tak samowolne naruszenie praw przez nich nabytych.

Utworzyła się z tego pośpieszna kompilacja, bez żadnej wartości wewnętrznej, a pozbawiona nawet i zewnętrznych zalet.

Widzieliśmy ten egzemplarz i mamy nadzieję, że jednym i jedynym pozostanie w Warszawie.

Śmiało wyrażamy to przekonanie, że nie znajdzie się tutaj ani jeden księgarz, któryby podaniem ręki temu nadużyciu, chciał się wyłamać z solidarnej opozycji, jaką wszyscy ludzie zaeni i dobrze myślący przeciw niemu zakładają.

Bo gdybyż choć najmniejsza staranność, choćby zaprowadzenie jakiegoś porządku w pomieszczonych przedrukach, choćby troskliwa korekta zalecały tę kompilację.

Ale wydanie to, zaniedbane do najwyższego stopnia, dowodzi, że liczone tylko na doraźne schwylenie sympaty publicznej dla nazwiska na okładce zamieszczonego.

Owóż zdaje się nam że dla spekulacji tego rodzaju najdotkliwszą będzie karą niepowodzenie. Ten któryby chciał groszem swoim lub współdziałaniem wesprzeć to wydzierstwo sierocego mienia, popełniłby grzech nie do darowania, stałby się bowiem niejako współnikiem nagannego nadużycia.

Idzie tutaj o zasadę moralną, o pogwałconą słuszność, o ukrócenie bezprawia. Cały ogół powinien ku temu podać rękę.

* * *

Wspomnieliśmy o smutnym stanie materialnym w jakim się znajduje rodzina po zmarłym poecie,

a wyrazy te należy brać w literalnym i najrzeczywistszym znaczeniu.

Syrokomla nie zostawił żadnego po sobie majątku; krótkotrwały swój zawód zapełnił pracą i otoczył sławą, jakiej rzadko któremu z żyjących poetów w tak niedługim przeciągu czasu dostąpić jest danym, ale z prac swoich licznych a różnorodnych nieobfite wcale zbierał plony.

Poeta nie rachuje się z przyszłością, to wstrętnym jest jego naturze, a jeżeli wzrokiem dalej od innych sięga w tej idealnej krainie którą dozwolono mu zwiędzać duchem, to w zamian jutro materialne, owo jutro na które liczy człowiek praktyczny, opatrząc je i przygotowując dla siebie i dla swoich, dla poety pozostaje martwą literą.

Dziś, skutkiem bezprawnego wydania poznańskiego księgarza, rodzina została po Syrokomli pozbawioną jest, na pewien czas przynajmniej, i tej ostatniej deski ocalenia, na którą rachowała i miała prawo rachować.

Zanim więc nadejdzie stosowna pora do puszczania w obieg rzeczywiście *kompletnego i poprawnego* wydania dzieł autora Margiera, należy obmyślić środki doraźnego zaradzenia mnożącym się potrzebom, które konieczność wychowania dzieci nieletnich i zapewnienia im do pewnego czasu jakiegobądź przynajmniej utrzymania wyradza.

Zdaje się że najpraktyczniejszym w takim razie sposobem ratunku byłoby odwołanie się do dzieł dramatycznych Syrokomli.

Poeta ten, liryk głównie i przeważnie, próbował jednak wszystkich rodzajów.

Utwory jego dramatyczne, pozostawiając krytyce szerokie do rostrząsań i zastrzeżeń pole, nacechowane jednak są temi sympatycznymi błyskami talentu, które najpopularniejszemu może z tegoczesnych naszych pisarzy jednały trwale serca i umysły społecznych. Dowodzi tego utrzymanie się ich na scenie teatru warszawskiego i ciągle zajęcie jakie wzbudzają.

Wiadomo czytelnikom, że wynagrodzenie które autorzy pobierają u nas za dramatyczne utwory, zbyt jest niskim, ażeby do normy rzeczywistej wartości tych utworów stosować je można.

Oznaczenie zasady wynagrodzenia zależy od dyrekcyi teatrów, ale publiczności wolno ze swjej strony złożyć dowody spójczucia dla ulubionego autora, który przysporzył jej tyle rzeczywistych duchowych rozkoszy.

Sądźmy iż z łatwością dałoby się zebrać grono chętnych amatorów, którzyby odegraniem albo całych sztuk, albo wyjątków tylko z utworów scenicznych Syrokomli, zapragnęli przyczynić się do zapewnienia rodzinie jego funduszu, tak koniecznie jej potrzebnego.

Należy spodziewać się że obie resursy ofiarowałyby na ten cel chętnie lokale swoje, tak dogodnie do przedstawień tego rodzaju, a publiczność pospieszyłaby niewątpliwie licznym zebraniem się wynagrodzić krzywdę, jaką tak niesłusznie wyrządzono wdowie i sierotom.

Zapewniano nas, że niektórzy przyjaciele i wielbiciele talentu zmarłego poety wzięli do serca ten pomysł i że jeżeli czas i okoliczności dozwolą, wejdzie on wkrótce w wykonanie. Byłby to dla ogółu mieszkańców tutejszych najłatwiejszy sposób okazania sympaty, na jaką zmarły talentem swym i pracą zastąpił.

* * *

W obecnych czasach i przy dzisiejszych wymaganiach sztuki, dobry przekład jest rzeczą arcytrudną.

Zdaje się wprawdzie różnym, że są dobrymi tłumaczami i że trzeba zasiąść tylko do stolika, wziąć pióro do ręki, a przy pomocy dykcjonarza w ciężkich razach, pójdzie to jakoś; że zresztą, kiedy już trudno na inną drogę o zarobek, a posiada się lub posiadać mniema jaki obcy język, tłumaczenie otwiera gościnne ramiona, bo do uskutecznienia tłumaczeń nie potrzeba ani aplikacyi, ani terminu, ani egzaminów żadnych, ani jakiegobądź próby.

I dlatego to zasypani jesteśmy tą powodzią tuzinkowych przekładów, za które obcy autorowie, gdyby tylko umieli po polsku i mogli ocenić krzywdę jaką im się wyrządza, wytoczyliby niewątpliwie procesa

pismom które pomieszczają te niedoleństwa, na zapelnienie jedynie miejsca wyrachowane.

Podwójnie więc szczęśliwi jesteśmy, gdy możemy przytoczyć wyjątek od tej ogólnej zasady, a wyjątkiem tym jest niewątpliwie przekład z autora niemieckiego Józefa Weilena, Drahomiry, tragedji na tle dziejów czeskich osnutej, której początek pomieszczony już został w Bluszczu. Tłumaczem tej tragedji jest Wł. L. Anczyc.

Po p. Anczycu wiele przywykliśmy się spodziewać, ale wistocie trudno ogadnąć, z kąd u autora ulubionych, tryskających humorem i werwą komedji ludowych, z kąd wreszcie u poety co w Tyrteuszu dowiódł niezwykłej lirycznej siły, wziął się tak dosadnie urobiony język dramatyczny, który kazałby chyba przypuszczać całą przeszłość studyów nad tragedją i dramatem poważnym.

Mieliśmy już sposobność poznania ukończonych trzech aktów tej tragedji i możemy śmiało powiedzieć, że przekład utrzymuje się ciągle w téjże samej sile; wykończony on, rozumny, wyborowo zastosowany do przedmiotu i sposobu przedstawienia go przez autora.

* * *

W tych czasach zmarł jeden z tych dawnego pokroju oryginałów, którzy coraz rzadszymi stają się u nas. Mieszkał długo na wsi, następnie przeniósł się do miasta *** gdzie i dni swoje zakończył.

Był to człowiek majątny bardzo, bezdzietny, mało z kim żył, do żadnych krewnych się nie przyznawał.

Główną jego namiętność stanowiła gra w warcaby. Była to jego jedyna i najulubieńsza rozrywka; w warcaby gotów był grać od rana do wieczora, i jedynym środkiem wkradzenia się w jego łaski, było dotrzymanie mu placu na tém polu.

W Warszawie nie bywał nigdy, nie cierpiał bowiem ruchu miejskiego i wielkomijskich rozrywek, nawet pod koniec życia z mieszkania swojego rzadko kiedy wychodził.

Zajmował domek parterowy o kilku pokojach, a w każdym pokoju musiała być warcabnica, z całym kompletem do gry téj należącej. Podobnie warcabnica musiała stać i przy jego łóżku, bo czasem, obudziwszy się w nocy, dręczony bezsennością, zapalał świecę i grał partją sam z sobą.

A przytém wymyślił jakąś przenośną warcabnicę, którą zawsze miał przy sobie na wszelki przypadek, w kieszeni od szlafroka gdy siedział w domu, lub w kieszeni od paltota gdy wychodził na miasto.

Służba jego składała się z gospodyni, kucharki, praczki, lokaja, furmana i ogrodniczka.

Nie z konieczności trzymał tak liczny dwór, bo sam mało usług potrzebował, a odznaczał się nawet wielkim skąpstwem; ale chciał zawsze mieć pod ręką partnera lub partnerkę do gry ulubionej.

Nie troszczył się więc ani o dobre świadectwa, ani o umiejętną usługę, szło mu przedewszystkiem o to, czy przyjęte do domu indywiduum umie grać w warcaby. Kto więc pragnął u niego znaleźć pomieszczenie, ten musiał wprawiać się w tę grę koniecznie.

Dwa razy na tydzień, we wtorki i czwartki, a oprócz tego we wszystkie niedziele i święta, wyprawiał on turniej warcabowy. Zasiadał wówczas uroczystie w salonie przed odświętną warcabnicą i przywoływał z kolei do gry z sobą cały swój zastęp służbowy. Wszystko, kobiety czy mężczyźni, od kuchni czy ze stajni, musiało stawić się na zawołanie.

A ktoby widział naszego warcabistę przygotowującego się do turnieju, mógłby się zdziwić niepomiernie. Wyglądał bowiem jak kufa. Miał na sobie jedno na drugiem, bez względu na porę roku, trzy koszule, trzy pary spodni, trzy kamizelki, trzy surduty, trzy chustki na szyję i t. d. i t. d. Wszystkiego po trzy.

Widocznie ta liczba była mu ulubioną, bo rozgrywał z kolei po trzy partje z każdym z partnerów lub partnerek.

Po każdej przegranej partji zdejmował z siebie jedną sztukę ubrania i oddawał ją wygrywającemu, bez względu na płeć.

Możecie sobie wystawić, jak wyglądał po ukończeniu turnieju.

Wówczas przystępował do wykupywania ubrania,

które potrzebne mu było do następnego turnieju, a trzeba z nim było targować się do upadłego. Groził, bił nawet czasem, ale płacił gotówką.

Wprawdzie rzadko kiedy jaka sztuka wykupywana była drożej jak po parę złotych; ale z powodu częstego powtarzania się turnieju, był to zysk wcale spory i dlatego ubiegano się o służbę u warcabisty.

Zdarzyło się raz że kucharka, wygrawszy wszystkie trzy pary spodni, nie chciała ich odstąpić jak za dziesięć rubli.

To tak zmartwiło naszego oryginała, że silnie zapadł na zdrowiu i od tego czasu nie podniósł się już. Na kilka godzin jednak przed śmiercią zagrał partją z doktorem o należne mu honorarium, które umyślnie do tego ostatniego rozstrzygnięcia przetrzymał.

Niewiadomo nam czy w testamencie nakazał, żeby mu warcabnicę włożono do trumny, ale być bardzo może iż tak się stało.

Otrzymaliśmy następującą odezwę, którą, powodowani uczuciem bezstronności, chętnie zamieszczamy.

Korespondent Tygodnika Ilustrowanego, pan M. B., pisząc w Nr. 25 seryi II o tegorocznej krakowskiej wystawie sztuk pięknych, popełnił, zapewne mimowolną, niesprawiedliwość względem p. Kurelli, twierdząc że ten artysta pomysł do swego *Michała anioła dotykającego torsu belwederskiego Herkulesa*, wziął z obrazu p. Matejki *Wita Stwosza wchodzącego do kościoła*. Pozorne podobieństwo układu tych dwóch pomysłów wprowadziło p. M. B. na omylną drogę; bardzo powierzchownie bowiem tylko te dwa obrazy są do siebie podobne. Punkta w których się stykają są: że tu i tam jest starzec, mistrz rzeźbiarstwa ociemniały, prowadzony tu przez młodzieńca, tam przez dziewczę; że tu ma rękę wyciągniętą, tam wzniesioną. Wewnętrznie jednak znaczeniem, treścią, wybitnie się te pomysły obrazowe różnią, — a różnica dla patrzącego okiem ducha i uczucia jest bardzo wyraźna.

Głębsze nieco nad tém zdarzeniem zastanowienie się byłoby panu M. B. przypomniało tysiące daleko wyraźniejszych spotkań się ludzi z myślami i zdaniem, lub często zdarzające się w zakresie wynalazków natrafianie na jednakie pomysły, w dwóch odległych od siebie punktach, przez osobistości nie zostające z sobą w żadnych widomych stosunkach.

Tutaj zachodzi właśnie podobnego rodzaju faktyczne niepodobieństwo, aby p. Kurella mógł być korzystać z pomysłu p. Matejki. Pan K. bowiem od lat 10 ciągle bawi w Mnichowie i tam w r. 1865 obraz swój wykonał, to jest w tym samym roku, w którym Wita Stwosza w Warszawie na wystawie ujrzelismy; zatem jednocześnie p. M. w Krakowie, a p. K. w Mnichowie wpadli na dwa różne zadania obrazowe, których wykonanie naprowadziło tych artystów na dość odległe podobieństwo zewnętrznego układu. Tém zewnętrznym podobieństwem w błąd wprowadzony sprawozdawca z wystawy krakowskiej, boleśnie a niezasłużenie dotknął wyrobionego i zasługującego na szacunek artystę, a z błędnego wyszedłszy założenia, nie dostrzegł istotnych zalet, zwłaszcza kolorytu, jakim się obraz p. Kurelli odznacza.

Wojciech Gerson.

Przegląd polityki zagranicznej.

31 lipca.

Od kilku dni piętnaście tysięcy strzelców niemieckich bawi w Wiedniu. Dla nich miasto przybrało świąteczną szatę, uroczystości, bankiety, toasty i mowy są na porządku dziennym. Lecz wszystko to byłoby samo z siebie zwykłą strzelecką uroczystością, gdyby nie objawy i manifestacje zgromadzonych z różnych stron Niemców. Objawy te są przedewszystkiem barwy niemieckiej i nie mogą być obojętnie widziane przez Prusy.

Generał Lamarmora, dotknięty uwagami autora pruskiego dzieła o ostatniej wojnie i smutnej roli

jaką niby mieli odegrać Włosi, zainterpelował gabinet, czy pozwoli na to, aby ktoś publicznie obrażać mógł armię. Na poparcie swego zdania Lamarmora pokazał i odczytał w parlamencie depezę odebraną przed wojną od p. Usedom, w której rząd pruski z góry kręślił plan jakiego chwycić się mieli Włosi i kilkakrotnie wspomina, że to będzie wojna na śmierć i życie i że idzie o to, aby Austryją w samo serce uderzyć. Otóż słowa te do żywego ubodły Austryją i nie przyczynią się do polepszenia stosunków między dwoma przeciwnikami, o których sprzymierzeniu się tyle w ostatnich czasach rozprawiano.

Stan Czech codziennie jest groźniejszy dla gabinetu p. Beusta. Wbrew zakazom, stronnictwo niezadowolonych dopuszcza się manifestacyj, mogących z łatwością wywołać zaprowadzenie stanu wojennego. Niektóre dzienniki twierdzą, że Czesi, idąc za przykładem danym niegdyś przez Węgrów, postanowili odmówić płacenia podatków.

Wiadomość o komisji międzynarodowej, mającej zebrać się w Petersburgu, celem stanowczego usunięcia w wojnach kul pekających, zamieniła się w fakt rzeczywisty. Jour. de S. Peters. podaje okólnik księcia Gorczakowa do mocarstw, z którego się dowiadujemy że komisja się zbierze, lecz nieprędzej jak około 18 października. Ważny ten fakt tém większego nabiera znaczenia, iż wielu się spodziewa że konferencya zamieni się w kongres i doprowadzi do ogólnego rozbrojenia. Byłby to jedyny, radykalny sposób położenia tamy wszelkim obawom o przyszłość; zachodzi tylko pytanie, czy Francya i Prusy zgodzą się na rozpuszczenie sił zgromadzonych. Stosunki tych dwóch mocarstw nie są najlepsze, a do powodów antagonizmu między niemi przybył jeszcze jeden. Francya stara się podobno o zawarcie związku wojskowo-celnego z Belgią i Holandją. Ściśle biorąc rzeczy, związek ten jest niejako naruszeniem równowagi europejskiej. Zachodzi wszakże pytanie, czy w obec zwiększonych Prus, a może i bliższego urzeczywistnienia jedności niemieckiej, Francya ma prawo myśleć o własnym bezpieczeństwie? Angielskie dzienniki bez wahania odpowiadają że nie i że związek taki wymagałby uznania mocarstw europejskich.

Książę Napoleon wrócił i podał cesarzowi Napoleonowi memoryał o stanie Wschodu, który znowu zaczyna zwracać na siebie uwagę. Przed kilku dniami doniesiono, że kilka band powstańczych wkroczyło z gruntu rumuńskiego do Bułgarii i stoczyło pomyślną z Turkami walkę. Wiadomość ta silnie wywołała wrażenie we Francji.

Wiadomości o liczbie powstańców bułgarskich i ich powodzeniu lub porażce, są dotąd skąpe i niepewne. Według depezy z Belgradu, sułtan przysłał firman, zatwierdzający księcia Milana w godności władcy Serbii. Sąd belgradzki, w sprawie o zamach, skazał 14 osób na śmierć, a trzy na więzienie. Między innymi książę Aleksander Karagieorgiewicz skazany został zaocznie na 20 lat więzienia.

Telegram z Madrytu zawiadamia, że wiadomości dzienników angielskich o wykryciu sprzysiężenia na pokładzie fregaty Villa Madrid były fałszywe. Z Meksyku donoszą, że rząd angielski nakazał znieść blokadę Mazatlanu i dał do zrozumienia rządowi Juarez, iż życzyłby sobie wejść nanowo w stosunki dyplomatyczne. O powstaniu meksykańskim żadnych wiadomości nie ma.

Z Bombaju piszą, że w Japonii wybuchły ważne rozruchy. Stronnicy byłego tajkuna zamordowali krewnego Mikada i w liczbie 200,000 idą na Jeddo. Wrazie powodzenia tych powstańców, Japonia rozpadnie się na dwa państwa. Mikado wydał podobno nader gwałtowny dekret przeciw chrześcianom.

Ostatnie depeze. Paryż, 29 lipca. Donoszą z Kissingen, że N. Cesarz Rossyjski przybył tam wczoraj wieczorem. N. Cesarzowa z W. K. Sergiuszem i Pawłem wyjechała na spotkanie N. Cesarza.

Paryż, 28 lipca. Dziś prezes ciała prawodawczego, p. Schneider, odczytał dekret cesarski, zamykający posiedzenia. Deputowani rozeszli się przy okrzykach: „Niech żyje cesarz!“ (W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

ZAKŁAD WÓD MINERALNYCH SZTUCZNYCH przy ogrodzie Krasieńskich w Warszawie.

Dzieje każdego zakładu w kraju, a témbardziej zakładu wpływającego na zdrowie ludzkie, zasługują nie tylko na uwagę czytelników, ale stanowią zarazem kartę należącą zarówno i do historii sztuki lekarskiej, i do dziejów przemysłu. Dajemy więc tutaj krótki opis od wielu lat znanego zakładu wód mineralnych sztucznych, który u nas jednocześnie prawie powstał z zakładem drezdeńskim doktora Struve'go.

Jeszcze narody starożytne, a szczególnie Rzymianie, uznając ważność leczenia wodami mineralnymi,

otwarcie instytutu wód mineralnych w Dreźnie, udali się do doktora Struve'go w r. 1823 tutejsi trzej aptekarze, a mianowicie Henryk Spiess, Samuel Elsner i Jan Żelazowski, i nabywszy od niego sposób robienia wód sztucznych mineralnych, wyrobili sobie w kraju patent swobody na ważny ten wynalazek.

Przybrawszy do spółki Ignacego Lesińskiego i Ferdynanda Ulbrichta, otworzyli w r. 1824 zakład, na którego pomieszczenie własnym kosztem wzniesli budowę stosowne w zadzierżawionym na dłuższe lata ogrodzie przy tak zwanym pałacu Dückerta Nr. 556, który przytykając do ogrodu Krasieńskich, najdogodniejszym był wtedy dla pijących wody, gdyż teatr i plac Krasieńskich w owych czasach ześrodkowały w sobie całą prawie powszechność warszawską.

Po śmierci Spiessa i Ulbrichta zostało właścicie-

szmirski mag. farmacyi i Tomasz Smoczyński. Dobór ludzi jakby umyślnie wyszukanych, albowiem składający się z lekarza, aptekarza-chemika i kupca. Dodać tu należy iż od bardzo wielu lat pracuje przy tym zakładzie pan Wolski.

Od dziejów zakładu, przejdźmy do jego wyrobów. Wody mineralne sztuczne posiadają też same cechy i własności, jakie mają wody naturalne. Wszystkie prawie tworzą w butelkach osad, a szczególnie wody żelazne. Obecność jednak osadu, nie dowodzi zepsucia wody, jak niektórzy z pijących mniemają. Jest to tylko skutek znajdujących się w wodzie soli, zależny od temperatury lub powietrza. Jeżeli bowiem rozpuszczone były w wodzie sole przy wyższej temperaturze, po jej obniżeniu część mała osiada na dnie, żelazo zaś, przy zetknięciu się z powietrzem, osadza



WIDOK ŁAZIENEK KRÓLEWSKICH W WARSZAWIE, podczas widowiska w tancecznym teatrze na wyspie. (Rysował z natury Dymitrowicz.)

starali się naśladować naturę i przyrządzali rozmaite kąpiele. Wiele jednak minęło wieków, zanim sztuka zdołała stanąć na stopie odpowiedniej wymaganiom nauki; bo natura jest najznamienitszym chemikiem, bo wydzielać tajniki przyrodzie, nie tak jest łatwo.

Z postępem chemii analitycznej i mechaniki, dały się usunąć znaczniejsze zawady i przeszkody, tamujące naśladowanie dróg, przez jakie przechodzi i jakimi działa natura. Według zdania filozofów, przyrodzenie najprostszymi postępuję drogami; idzie jednak o rzecz nader ważną: o dojście owych ścieżek prostych na pozór, ale nader mimo to trudnych do znalezienia.

Praca doktora Struve'go z Dreznia, a szczególnie szczęśliwe przezeń jakby podchwycenie działań natury, zdołały jaknajzupełniej zbliżyć wyrób sztuki do odpowiednich działań naturalnych. Zaraz też po

lami trzech tylko spółników, z pomiędzy których oddano kierownictwo Lesińskiemu (ojcu). Zaczyna ten przewodnik zakładu wykształcił na chemika swego syna Teofila, który w r. 1850 wróciwszy z zagranicy, został dyrektorem zakładu i wyrezył tym sposobem ojca. W parę lat potem nabył część Elsnera, który usunąć się pragnął ze spółki.

Po nieodżałowanym skonie ś. p. Teofila Lesińskiego (którego portret i życiorys w swoim czasie Tygodnik nasz umieścił), niedługi czasu przeciąg był jego zastępcą w 1861 r. chemik Michał Trzebiecki. Roku 1865 śmierć zabrała i ś. p. Żelazowskiego, tak iż z pięciu założycieli, pozostał tylko przy życiu jeden Elsner, nie należący już do liczby właścicieli zakładu.

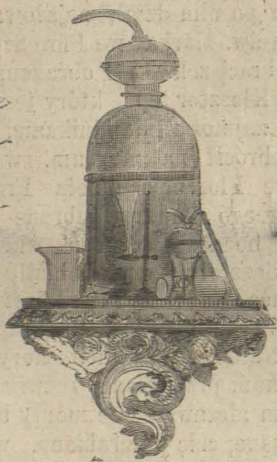
Dzisiejszymi spółnikami własności zakładu są: p.p. Marcelli Langowski dr. medycyny, Józef Wy-

wodan niedokwasu żelaza, który jest rozpuszczalnym. Dlatego niektórzy niesłusznie utrzymują, że taka woda jest złą do użycia; przeciwnie, stanowi to tylko dowód, że skrupulatnie została przyrządzoną.

Przy zakładzie, idąc z postępem nauki, urządzono także salę do wdychania, tak zwaną *inhalacyjną*.

Z pomiędzy różnych sposobów leczenia chorób płuc i krtani, inhalacje w ostatnich latach coraz obszerniejsze znajdują zastosowanie w medycynie. Dla łatwiejszego zrozumienia wyrazu *wdychanie*, winniśmy objaśnić, że przy użyciu tej metody środek leczniczy, zamiast przyjęty wewnątrz, przez organa trawienia dostać się w krew, a z tej do organu cierpiącego, styka się bezpośrednio z błoną śluzową czy to krtani, czy też płuc i wprost wywiera swe działanie. Dla osiągnięcia tego celu, różne w ostatnich kilku latach obmyślono przyrządy, za pomocą których wy-

Zakład wód mineralnych, przy ogrodzie Krasińskich w Warszawie.



1) Kolumnada przechadzkowa, podług litografii z roku 1827. — 2) Miejsce wydawania wód mineralnych. — 3) Sala inhalacyjna. — 4) Wniósce od ogrodu Krasińskich
5) Pałac Krasińskich, od strony ogrodu.

wiązująca się para ze zbiornika, przechodzi przez rury komunikacyjne i pędem swoim rozrzedzając powietrze w rurce szklanej pod kątem prostym umieszczonej, podniesiony płyn leczniczy, w którym taż rurka szklana jest zanurzona, rozdrabnia albo raczej zamienia w parę, którą chorzy oddychają.

Do najpraktyczniejszych takich przyrządów zaliczyć możemy istniejący w ogrodzie Dückerta przy instytucie wód mineralnych, pod bezpośrednim zawiadywaniem d-ra medycyny Langowskiego. Od lat trzech z powyższej opisaney metody leczenia korzystają chorzy, dotknięci cierpieniami płuc i krtani.

W bieżącym roku, dla udoskonalenia przyrządu inhalacyjnego, dr. Langowski, zwiędziwszy najpierwsze tego rodzaju zakłady we Francji, urządził według ulepszeń tamedycznych sałę inhalacyjną w ogrodzie Dückerta i z dobrodziejstwa tego codziennie zwiększająca się liczba chorych korzysta. Prócz codziennych kuracyj inhalacyjnych w godzinach rannych od 7ej do 9ej, dwa razy w tygodniu, a mianowicie w poniedziałek i czwartek od godz. 6ej do 7ej wieczorem, dd. medycyny Karwowski i Langowski udzielają radę w tymże zakładzie dla tych, którzy powyższą metodą pragną być leczeni.

Dr. H. Sk.

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

Opera nowa R. Wagnera. — Pierwsze przedstawienie jej w Monachium. — Wyjątki z felietonów Hanslick'a. — Wrażenia i sądy. — Muzyka przyszłości. — Znaczenie muzyki w sztuce XIX w. według Laprade. — Muzyka jako sztuka Kat egzoehen (górująca) XIX w. — Muzyka i krajobraz. — Dlaczego potrzebujemy muzyki? — Nowe muzeum we Florencji. — Klasztor S. Marco. — Fra Angelico i Fra Bartolomeo. — Cella Savonaroli. — Historia i opis kościoła św. Zofii w Konstantynopolu, przez Gerndt'a. — Losy świątyni. — Autorowie którzy ją opisywali. — Spustoszenia i grabieże nad Renem, według H. Riegel. — Spira, Wormacya, Moguncya. — Najświeższe wiadomości o Serbii. — Postępy naukowe. — Zakłady wychowawcze. — Akademia. — Stowarzyszenia. — Prace historyczne. — Pisma peryodyczne, teatr i t. d.

Śród drzémki i odrętwienia dni letnich, w których zwykle kronikarzom najtrudniej o nowości, prawdziwém dla mnie błogosławieństwem było przedstawienie dawno oczekiwanych Meistersängerów norymbergskich Wagnera. Nie wątpię że okrucy wrażeń tego pamiętnego wieczora ze wszech stron już i do was dolecieć musiały; ale gołe wiadomości o operze niewiele nauczą... Ci co nie mieli szczęścia znajdować się z przedstawicielami niemal całej europejskiej prasy w Monachium, powezmą najlepsze pojęcie o tém dziele z wybornych o niem artykułów Edwarda Hanslick'a, wiedeńskiego felietonisty w Neue freie Presse, z których parę ustępów przytoczymy. Hanslick jest surowym, bardzo surowym dla Wagnera, ale nie jest mu systematycznie nieżyczliwym ani niechętnym. Kończy on przecie sprawozdanie swoje tém, że jakkolwiek operę uważa za próbkę kunsztowną teoryi trochę dziwaczną, przecież woli ją jeszcze, niż tuzin owych powszednich oper artystów zdrowych i trzeźwych, których płody ledwie półtalenciku dowodzą. „Dwa pierwsze akta, pisze Hanslick, i początek trzeciego czynią wrażenie niezmiernéj, wypalonej, dzikiéj pustyni, którą pod koniec dopiero kwiecista oaza ożywia. Ale szczęśliwy kto do niej się dowlecze.“

Głównie zarzuca krytyk tekstowi samemu opery zupełny brak akcji, która nie rusza się przez dwa całe długie akty i nuży niesłychanie rozwlekłością. W dodatku, obyczajem Wagnerowskim, melodia trzymana jest w powolném, jednostajném tempie. Wagner, jak to świeżo oświadczył w broszurze swéj „Deutsche Kunst und Politik“, uważa andante za specyficzenie niemieckie, charakterystyczne, narodowe tempo. Krytyk wszakże gotów się już pojednać z tém wszystkiém i z nudą nawet, pocieszając się tém, że nie ma do czynienia z mytami, jak w *Rheingold* i *Nibelungach*, ani z patetycznością nużącą Trystana i Isoldy. „Po tym nieznośnym syropie, dodaje, czarna rzodkiew smaczną wydać się może.“

Pociesznie bardzo scharakteryzowaną jest rola Hans Sachs'a, który oprócz historycznej swéj indywidualności, przedstawia w operze nibysamego Wa-

gnera, stojącego w obronie swéj niezrozumianej i nieodczutej muzyki przyszłości. „Hans Sachs, jest to coś nakształt nawróconego na Wagnerizm Mozartysty, który swe Separat-votum za muzyką nową wygłasza.“

Następuje szczegółowy rozbiór opery, zbyt obszerny byśmy go powtórzyć mogli; tu i owdzie wyrwiemy z niego charakterystyczniejsze ustępy. „Uwertura do Meistersängerów, która jedne po drugich główne motywa zléwa w wielką rzekę chromatycznych pochodów, ostatecznie w prawdziwy orkan tonów i burzę je zmieniając, może w niewtajemniczonych słuchaczach obudzić domysł, że norymbergscy śpiewacy głównie zajmować się musieli preparowaniem cyankali. Tę kompozycją orkiestrową nazwałbym chętnie najnieprzyjemniejszą w świecie z uwertur, gdyby przegrywka do Trystana i Isoldy nie była szkaradniejszą jeszcze. Przypominają one mimowolnie owo męczeństwo na włoskim obrazie przedstawione, powolne wyciąganie wnętrzości z człowieka. Uwertura Śpiewaków ma to na zaletę, że szybko je wyrwywa.“ Krytyk zarzuca pieśni miłosnej Waltera brak efektu, przeładowanie szczegółami i niepokój w akompaniamencie i modulacyach. Całe wrażenie pierwszego aktu ma być nużące i ciężkie, wyglądające na próbę cierpliwości słuchaczy. Ustępy komiczne równie nieszcześliwe jak inne.

Całe pierwsze dwa akty upływają na rozmowach, którym brak lekkości, swobody, naturalności, wedle sprawozdawcy. Śpiewacy zmuszeni są najpospolitsze frazesy potocznej mowy wykrzykiwać, aby zbyt huczną orkiestrę zagłuszyć. Hanslick dodaje: „Niemiłosiernymi dysonansami, któremi Beckmesser szczydzi i lamentuje, możnaby wyśmienicie wygrać króla Leara sceny tragicznej i zrobić z nich melodią do uduszenia Desdemony. Gdy czeladź śpiewa „o chlebie i wodzie“, orkiestra gra mordy i pożary. Proszę posłuchać chóru, w którym lud w końcu wyśmiéwa niedorzeczny śpiew Beckmessera; zdałoby się że tumult ten zapowiada wściekłą jakąś scenę doraźnej sprawiedliwości, na sposób amerykański.“

W drugim akcie, scenicznie najefektowniejszym, Hanslick chwali tylko budowę finału, a mianowicie sposób w jaki się kończy scena ludowa, nie zmasowaniem wszystkich głosów, ale powolném ich ustępowaniem, słabnięciem i naostatek cichą pieśnią stróża nocnego.

Trzeci akt, wedle krytyka, jest najlepszy; szczególnie odznaczają się w nim śpiew Waltera „Morgenlicht leuchtend“, kwintet na głosy same, epizod „świéjący robaczek“ i finał ostatni.

Oto wyrok ostateczny, którym surowy sprawozdawca rzecz swą kończy.

„Monachijskie przedstawienie Meistersängerów, pozostanie dla każdego miłośnika muzyki pamiętną chwilą artystycznego żywota, chociaż nie jedną z tych, których urok i piękność prawdziwa, błogo i mile nazawsze w nas pozostają. Operę tę trudno uznać dziełem głębokiej oryginalności, trwałego wdzięku i prawdy, ale raczej zajmującym eksperymentem, który dziką energią wykonania i niezaprzeczoną swą świeżością nietyle dowodzi geniuszu, jak metody i kunsztu. Nie jest to dzieło prawdziwego twórcy, ale robota pracowita umiejętnego artysty, napół poety, napół kompozytora, który sobie stworzył system nowy, w zasadach fałszywy, w przeprowadzeniu ścisłym niepiękny i niedźwięczny...“

Pomimo to wszystko powodzenie opery na scenie, jak wiemy, było nadzwyczajne, chociaż wiele ubocznych okoliczności przyczynić się téż mogło do niego. Najlepszą próbą będzie los Meistersängerów na innych scenach niemieckich — ten rozstrzygnie.

Jakkolwiek szła i namiętność dla muzyki i niezmiernie nią zajęcie w ogóle zmniejszyły się już znacznie, a zadanie Wagnera, Liszta i Bülowa „muzyka przyszłości“ nie roznamiętnia już jak przed niedawnymi jeszcze czasami, wszakże pozostanie cechą sztuki XIX wieku, jak słusznie zauważył Laprade, to jej usposobienie muzyczne.

Nie możemy tu pominąć ustępu z jednéj z przedmów poety do jego „Symfonij“, w którym cechuje trafnie wpływ muzyki na sztukę w ogóle. „Muzyka, powiada on, jest sztuką naszym czasom właściwą. W salonach zastępuje rozmowę i czytanie, w teatrach panuje z krzywdą utworów literatury, duchem swym przejęła inne sztuki piękne, metody ich nad-

wereżyła i na korzyść swą zakresy ich zmienila. Ale tajemnicą istotną jej wpływu jest, że u społecznych znalazła coś więcej niż prawowite upodobanie ku wdzięcznym swym utworom, znalazła w duszach pewne popędy i skłonności, które się lepiej wyrażają nieokręśloną formą melodyi, niż formą ściślejszą, dobitniejszą słowa, a szczególnie mowy naszéj (francuzkiéj).“

Laprade raczej stwierdza niż tłumaczy ten fakt, iż wiek nasz dla wypowiedzenia myśli swéj, dla napiętnowania sztuki, użył nieokręśloną, mglistą formę języka muzyki, a tęsknotę i nieokręśloną pragnienie w malarstwie wyraził upodobaniem w krajobrazie, który, równie jak melodia, niejasno, niezupełnie myśl ludzką spowiada... jest raczej mową uczucia niż idei. Ale znakomity poeta, ze smutkiem i niepokojem przywodząc te cechy wieku, w których upatruje zarody jeśli nie upadku, to jakowegoś przesilenia, nie chce głębiej zapuszczać się w badanie przyczyn. Nie byłoby w pewnym związku z tym fenomenem ukochanie na innych drogach praktyki, rzeczywistości, wygnanie ideału i uczucia, które będąc niezbędnie potrzebnymi ludzkości do życia, w muzyce i krajobrazie schronić się musiały? Gdy we wszystko wierzyć przestajemy, gdy filozofia wywieksza chorągiew ateizmu, a prawo społeczne egoizm chłodny stawia w miejscu miłości bliźniego... odarty z uroków świat szuka może zaspokojenia nieokręślonych pragnień w tém, co choć niejasno, mówi mu jeszcze o nieskończoności, o zaświecie, o straconych ideałach.

Ponieważ jesteśmy na polu sztuki, nie schodźmy już z niego, a raczej powróćmy na nie. Miłośnikom sztuki natchnionej, czerpiącey siły w uczuciu głębokiém, w jasnowidzeniu religijném, nie może być nieznaném imię Fra Angelico da Fiesole, jednego z tych mistrzów chrześciańskiego malarstwa, który po sobie ani ucznia, ani szkoły nie zostawił. Z pozostałych po nim dzieł, najgłówniejszém są freski klasztoru św. Marka we Florencji, którego ściany pobożny braciszek okrył obrazami niezrównanej piękności. Klasztor ten, który jeszcze przed lat dziesiątkiem zajmowali dominikanie, terażniejszy rząd włoski obrócił na muzeum, w którym wszystkie łobfite we Florencji dzieła Fra Angelico i średniowiecznego kunsztu zebrane być mają. Otwarcie tego bogatego zbioru wkrótce ma nastąpić. Ściany klasztoru przyozdabiali Fra Angelico i Fra Bartolomeo. Każda ze czterdziestu cel zawiera obraz jednego z tych mistrzów, przeważnie wszakże pierwszego. Na trzech wielkich korytarzach wiodących do mieszkań, przepyszne rozwijają się freski. Nieszczęściem niezawsze one mogły być w ciągu wieków poszanowane; cele przerabiano, wybijano drzwi, zamurowywano okna, tak że jeden z obrazów Fra Angelica znajdował się już w zupełnie ciemnym zakątku i musiano go we dnie przy świetle oglądać. Teraz drogocenne te mury przechodzą jako muzeum pod zarząd i opiekę dyrekcji sztuk, która kończy restauracyą z poszanowaniem zabytków przedsięwziętą. Oprócz obrazów w celach i na korytarzach, o których wspomnieliśmy (do nich się liczy u wnijscia cudownego wyrazu Chrystus na krzyżu Fra Angelica), w sali kapituły znajduje się słynne Ukrzyżowanie, które we wszystkich historyach sztuki się przywodzi, a w refektarzu Wiczerza Pańska Ghirlandaja. Na właściwe muzeum obróconym będzie wielki refektarz, gdzie królować mają Fra Angelico i Fra Bartolomeo. Sałę biblioteczną napełnią rękopisma z miniaturami i chóralne księgi, w których także Fra Angelico i brat jego wiele pozostawili pamiątek. W samym końcu dormitorium zachowa się w stanie takim jak dotąd przetrwała, cela historyczna Savonaroli, z jego portretem i wielą po nim pozostałościami, między innymi bibliami dwiema, na których są ręka jego porobione przypiski. Gorliwość ministerium i miłośników sztuki każe się spodziewać, że we Florencji, już i tak pełnej pamiątek i dzieł niezrównanych, przybędzie nowy zbiór, który zjednoczy wszystkie zabytki ze zniszonych klasztorów pochodzące, a liczba ich i znaczenie dla historyi będą niemałe.

Do dziejów budownictwa z téj epoki, z której się może najmniej całkowitych zachowało zabytków, szacownym przydatkiem jest świeżo wydana monografia kościoła św. Zofii w Konstantynopolu, przez architekta A. F. Gerndt'a (Die Sophienkirche zu

Constantinopel. Potsdam, Döring). Kościół św. Zofii, jak wiadomo, jest pomnikiem bizanckiego kunsztu, w chwili najświetniejszego rozkwitu; zbudowanym był z rozkazu cesarza Justyniana przez Autheniosą z Tralles (w Lydyi), i przez niemniej słynnego Izydora z Miletu. Pod ich rozkazami było stu budowniczych wykonawców. Kamień węgielny położony był d. 23 lutego 532 roku, a do roboty używano niekiedy 10,000 czeladzi. Poświęcenie odbyło się 26 grudnia 537 roku. Wielu pisarzy dawnych i nowszych podało opisy tej świątyni i jej skarbow; ze starożytnych trzech szczególnie zasługuje na uwagę, jako spólczesnych wzniesieniu kościoła: Agathios Scholasticos (uczony prawnik), Prokopios (prefekt stolicy) i Paulus Silentiarius, który był tajnym sekretarzem cesarza Justyniana. Ostatniego opis jest poematem z 1206 heksametrów złożonym, który zapewne w czasie poświęcenia czytany być musiał na cesarskim dworze. Daje on dokładny obraz świątyni, ozdób, ołtarzów i t. p. Monografia Gerndt'a oparta jest na studiach architekta Salzenberga z Berlina, który czas jakiś bawił w Konstantynopolu i miał sposobność bliżej się dobrze zachowanej budowie przypatrzeć. Nic w niej niema zmniejszonego, prócz kilku okien zamurowanych i poprzączepianych minaretów.

Rozdrażnienie które od ostatniej wojny panuje w Niemczech przeciwko Francji, objawia się nie tylko w pismach polityce poświęconych, znajdujemy ślady jego nawet na kartach dzieł sztuką się zajmujących. Herrmann Riegel wydał świeżo „Deutsche Kunststudien“ (Hannover, Rümpler), w których szeroko się rozwodzi nad wandalizmem Francuzów i szkodami jakie przez nich poniosła sztuka niemiecka. Dziennikarstwo schwyliło ten temat i dzierzga na nim namiętnie. Riegel pisał skrzętnie poruinowane kościoły szczególnie, chociaż przyznaje sam, że w czasach wojny nie jedni Francuzi dopuszczali się podobnego barbarzyństwa. Spira, Wormacya i Moguncya najobszerniej są traktowane. Moguncya, wedle niego, ucierpiała stosunkowo najmniej, licząc nawet oblężenie 1793 roku; Wormacyą spalono ze szczętem w r. 1689, a Spirę zrównano z ziemią. Przez lat dziesięć miasto leżało w gruzach i popiołach, nim się znów ludzie ośmielili klecić nowe budowy na zwaliskach. W trzech tych miastach, trzy wspinałe kościoły szczególną zwracają uwagę, jako pomniki średniowiecznej sztuki. Katedra w Spirze spaliła się w latach 1159, 1289, 1450, zawsze wznoszona nanowo, aż do ostatecznej klęski d. 31 maja 1689 r. Mieszkańcy, w czasie zburzenia miasta, przenieśli się do niej z całym mieniem i dostatkami; ale podłożono ogień i starożytny gmach spłonął, został zrabowany, a nawet groby Albrechta austriackiego, Beatrycy małżonki Fryderyka I zburzono. Od tego czasu katedra w Spirze, mimo restauracji około 1770 r., już do dawnego blasku przywrócić nie mogła. W r. 1794 napaść rewolucjonistów sprofanowała ją znowu. Długo później kościół był spichrzem i składem tylko. Mniej ciężkie koleje przebywała Wormacya i Moguncya, w obu jednak tych miejscach wiele pamiątek zaginęło. Zresztą Niemcy nie mogą się jeszcze uskarżać na zatrącenie pomników przeszłości, które skrzętnie zachować, zbierać i poszanować umieją. Świadczą o tém ich stare groby i nowe muzea.

Świeże wypadki nadają pewne zajęcie kilku szczególnie o Serbii, podanym przez p. Legera w przeglądzie kursów literatury, wychodzącym w Paryżu. P. Leger miał przed sobą cały szereg raportów ministerium oświecenia, w przeciągu lat dwunastu podawanych skupczynom. Wszystkie one dowodzą znakomitych w oświacie postępów. W początku jeszcze XIX w. niewielu Serbów czytać i pisać umiało. Faktem jest że ojciec świeżo tak nieszczęśliwie zamordowanego ks. Miłosza, nazwiska swego podpisać nie był w możności. Od roku 1856, na ludność około miliona dusz, znajdujemy już szkółek 337, z 12,000 uczniów. W r. 1860 szkół 359, dziś 377, t. j. 342 męzkich i 35 kobiecych. Liczba uczących się dochodzi do 20,000. Szkoły pośrednie składają 4 techniczne zakłady i 6 gimnazyów. Wyższym zakładem naukowym jest seminarium w Białogrodzie, w którym 35 Serbów nie pochodzących z księstwa, odbiera wychowanie bezpłatne, i akademia z wydziałami prawa, nauk przyrodniczych i fi-

lozofii. Medycyny i farmacji uczą się jeszcze Serbowie za granicą. Komisya osobna zajmuje się wydawnictwem ksiąg elementarnych dla naukowych zakładów.

P. Leger powiada: „Zwiedzałem kilka szkół w okolicach Białogrodu: zdały mi się czysto i porządnie utrzymane, a uczniowie roztropni. Uczą się szczególnie z zapałem swęj historii narodowej i przekonani są najmocniej, że ich Miłosz przechodzi geniuszem Napoleona. W Białogrodzie najpiękniejszym gmachem, niemal jedynym rzec można, jest akademia. Budowa ta obszerna kosztowała dwa miliony, a ofiarowaną została miastu przez bogatego kupca i kapitana Miszę. Oprócz sal, w których się kursa odbywają, zamyka w sobie bibliotekę złożoną z 20,000 tomów, bogatą w rękopisma i inkunabuły, zbiory historii naturalnej, oraz muzeum archeologiczne rzymskie i serbskie, zasługujące ze wszech względów na bliższe poznanie. W Kragujewacu, drugim z porządku mieście serbskiem, zakładają w tej chwili bibliotekę. Prywatne stowarzyszenie w Białogrodzie, urządziło dobrze zaopatrzoną czytelnię, w której wszystkie dzienniki europejskie znaleźć można.

Obok drukarni prywatnych, rząd ma drukarnię narodową, której plody mogły być wysmienicie ukazać się na zeszłorocznej wystawie. Dochód z niej nawet jest znaczny. Ale też rząd kosztem swym wychowuje młodzież kształcąca się zagranicą w naukach przyrodniczych, medycynie, prawie i filologii. Młodzież ta rozproszona jest we Francji, Szwajcaryi, po Niemczech, w Petersburgu, a nawet w Konstantynopolu. Spodzieiwają się że powróciwszy do kraju, będzie ona rozsądnikiem pożytecznym w różnych gałęziach służby publicznej i wychowania.

Na czele naukowych stowarzyszeń stoi białogrodzkie *Uczeno družstwo*, bractwo naukowe, założone w r. 1841 i poświęcone rozwinięciu studiów filologicznych i historycznych, serbskich i słowiańskich. Towarzystwo to z Kragujewacu przeniesione do Białogrodu, zachowawszy piérwszy swój cel, rozdzieliło się na kilka sekcji, z małą zmianą statutów i większym wpływem a inicjatywą rządu, który mianuje prezesów wydziału i zwierzchni ma nadzór nad instytucją. Rząd przychodzi bractwu w pomoc rocznym subsydiem 500 dukatów. Organem bractwa jest pismo *Hlasnik*, wychodzące od r. 1847, zamało znane, a dla historii i archeologii słowiańskiej bardzo ważne. Oprócz tego pisma wydało towarzystwo kilka dzieł historycznych, między innymi: *Acta archivi veneti*, Pomniki serbskie zebrane przez M. Pucica i t. p. Najnowszą pracą jego jest zbiór pieśni heroicznych Bośni i Hercegowiny.

Dzienników wychodzących liczy pan Leger dzieśiątek. Cztery z nich ukazują się trzy razy w tygodniu. Istnieje także zarodek teatru narodowego w Kragujewacu, a artyści wędrują po kraju, równie jak trupa kroacka z Zagrzebia i serbska z Nowego Sadu dając przedstawienia po miasteczkach. Nieszczyściem niedostatek sztuk oryginalnych zmusza uciekać się do tłumaczeń, nawet z francuzkiego. W Białogrodzie myślą o budowie teatru stałego i towarzystwie scenicznem, któremu ks. Miłosz przyrzekł był czynną pomoc swoje.

Jednym z najświeższych objawów literackiego życia Serbów jest zawiązane „stowarzyszenie archeologiczne dla badania półwyspu bałkańskiego;“ ale o tém więcej nad to, co mówi jego nazwanie — nie wiemy.

Rozmaitości.

Książka do nabożeństwa Mieczysława II-go.

Niewielu zapewne wiadomo, że z pomiędzy rzadkich pomników odległej przeszłości przechowała się aż do naszych czasów książka do nabożeństwa Mieczysława II, syna Bolesława Wielkiego czyli Chrobrego, którą mu około roku 1028 darowała Matylda księżniczka szwedzka. Napisana jest w języku łacińskim, a najciekawszą jej część stanowi poświęcenie jej

Mieczysławowi, z którego dowiadujemy się między innymi, że Mieczysław, prócz ojczystego języka swego, umiał wybornie po łacinie, a nawet po grecku. Rękopis książki, z naturalnym wizerunkiem Matyldy i Mieczysława, znajduje się w zbiorach kościoła katolickiego w Berlinie. L. R.

WIĘRSZ

Zygmunta Krasińskiego.

(Nigdzie jeszcze nie drukowany).

Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści
Rozsnuć do światła wiążące mnie nici,
Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,
Jak łąza w potoku, jak mgła na błękiecie.

Lecz zanim chwila wyroczna przemienie,
Nim, zkądem przyszedł, powrócę do Boga,
Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie
I cicho konać na twém ręku, droga!

A gdy już rzucę wszelkiej troski brzemię
I ty na ciało będziesz kładła ziemię,
Proszę cię: nie chciój dusznego sklepienia
Klasztornych murów kłaść nad moją czołem;
Dość mi już było na ziemi więzienia;
Śmierć niech łąk polnych otoczy mnie kołem.

Gdzieś na zielonem i otwartem polu,
Pod niebios wiecznie błękitnym pierścieniem,
Złóż moję głowę senną, pełną bólu,
I marmurowym przykryj mnie kamieniem,
A marmur ochłódź wonnych krzewów cieniem.
Zasię tam, zasadź bluszcze, rozchodniki,
Stulistne róże, podwójne gwoździki,
Niezapominki i nieśmiertelniki,
Italskie mirty, podalpejskie dale
I borów naszych pamiątkę — konwalie.

Wszystkie, co kochasz i com ci przynosił
Za życia kwiaty, oddaj umarłemu;
Wspomnij, żem o nie zasypiając prosił
I rzuc je wieńcem pod głowę śpiącemu.

Niech przytłoczony tym ostatnim darem,
Pchan coraz niżej tym kwieciami ciężarem,
W wieczność zapadam — aż w niej się przetworzę
Na drobne listki, gałązki, kielichy,
I z głębi grobu wyrosnę — kwiat cichy,
I serce wonne przed tobą roztworzę.

Tak każdej wiosny ócz wonnych tysiącem
Będę wyzięrał za śmierci okręgą
I rósł tam jeszcze przy tobie, pod słońcem,
Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgą.

Rwij mnie, bierz — rwij mnie, przyczepiaj do skroni,
Co ciało zdoła, to ciało da tobie;
Nic się już z niego nie zostało w grobie,
W kwiat się zmieniło, a kwiat zniknął w woni.

I duch mój czeka, aż woń ta powróci,
Przez smugi niebios niesiona wichrami,
I znów go ciałem dokoła obrzuci,
Lecz innem, światłem, spólnem z aniołami.

Przeń więc dalej na tój dziwny drodze,
Z głębin grobowych do jasnego nieba,
Wszystkie te kwiaty które w grobie rodzą;
Nim mnie obleką, zwiędnąć im potrzeba
Na piersi twojej; bo ztamtąd dopiero
Uniewidnione w niebo się wybiera
Do ducha mego — i ciało me w niebie
Będzie z tych kwiatów, ...co zwiędły u ciebie.

N A S Z E T Y P Y,

(z rysunkami i opisem Leona Kunickiego).

Stróż folwarczny.



STRÓŻ FOLWARCZNY.

Po większych dworach wiejskich, w rzędzie czeladzi dworskiej, najpośledniejsze, najniższe miejsce zajmuje stróż folwarczny.

Oprócz zwykłych posług, służy on za popychadło i używanym bywa do rozmaitych okolicznościowych zatrudnień.

Na stróża folwarcznego idą zwykle wieśniacy-kalęcy, idyoci i tacy, którzy swego gospodarstwa i rodziny nie mając, a niezdatni do innej pracy, czepiają się jakiej takiej służby, pobierając najniższą ze sług dworskich płacę, lub też ubodzy, którym chodzi głównie o strawę, odzienie i kąpiel na zimę.

Jednego z takich przedstawia rysunek z natury tu załączony. Chłop to barczysty, już nie młody, z długimi, siwiejącymi włosami, obyczajem ludu tamtejszego na czoło i w około głowy w nieładzie spadającymi, z nogami nieco krzywymi, zawsze czarny i posmolony na twarzy i odzieniu.

Hawryło z młodych lat był hulaką, przepił, przemarnował ojcowiznę, bałamucał, nie ożenił się wcale i mógł dowodnie powiedzieć, że wedle przysłowia „nie z jednego pieca chleb jadał.“



FAKTOR MAŁEGO MIASTECZKA.

Służył potrosze, to tu, to owdzie; był jakiś czas pastuchem owiec gromadzkich, to znów poszedł na parob-

ka do gospodarza; ztamtąd wypędzony, zeszedł na podpasieca nierogacizny gromadzkiej, ale tam miejsca nie zagrawszy i popróbowawszy jeszcze rozmaitych innych obowiązków w wiosce rodzinnej, przyczepił się wreszcie do dworu na stróża folwarcznego. Leniwy on z natury, hulaszczy jeszcze, pomimo wieku nie dbały. W jego fizygnomii malują się dowodnie te wady, a w czerwonych obwódkach jego oczu i nosie rubinowego koloru, pociąg do spirytualij, czyli do ulubionej *horytki*, przedewszystkiem dosadnie się przebija.

To też byle tylko sposobność, byle grosik jakiś, zaraz go przepija i dla tej przyczyny pieniędzy do ręki nie dostaje, a natomiast dają mu gotowe buty, sukmanę, kozuch i bieliznę.

Gdy na Hawryła przypadnie chwila szału i dawna hulaszczność się w nim odezwie, to i sukmanę, i buty, a nawet i kozuch pod zimę przepije i z rezygnacją potem po śniegu drepce bosaka, a pożyczanym jakim podartym kawałkiem łachmana od zimna się okrywa.

Gdy jest nawpół cięty i rozmarzony, co się trafia dosyć często, wówczas serdeczny i rozmowny, aż do uprzykrzenia; całowałby wszystkich, z każdym w obszerny zachodziłby rozhovor. Wtedy także śpiewa rozmaite piosneczki i o ile może od roboty się uchyla.

Pomimo to nikt we dworze i we wsi tak ochoczo grać nie umie do tańca na skrzypcach, jak Hawryło.

Gdy w święto czeladź dworska chce sobie jaką ochotę przed folwarkiem wyprawić i pohasać trochę, lub w czasie dożynek, które zwykle z wielką wesołością i życiem bywają obchodzone, Hawryło uproszony grywa na swych czarnych, zapyłonych skrzypkach; lecz nigdy i w tém długo nie dotrwa i nieraz w czasie najbardziej ochoczych płaśów, gdy się w nim hulaszczność dawna odezwie, uniesiony ochotą tańca, rzuca skrzypki i sam z hukaniem głośnym z dziewczkami w skoczne puszcza się hasanki. Niechętnie idą z nim tańczyć dziewczoje, bo Hawryło już stary i płacze nogami. To też nieraz swój ta-

niec okupi porządami i licznymi szturchańcami od swych tanecznic i mnóstwem klątw sypiących się na niego z ust młodzieży żeńskiej.

Już nieraz za bałamuństwo, pijaństwo i lenistwo Hawryło wydalony ze dworu, tułał się czas jakiś po wioskach okolicznych, po krewnych i znajomych, i dopóty tam bawił, dopóki go ugosczyli i darmo strawę dawali. Ale krótko to zwykle trwało, bo

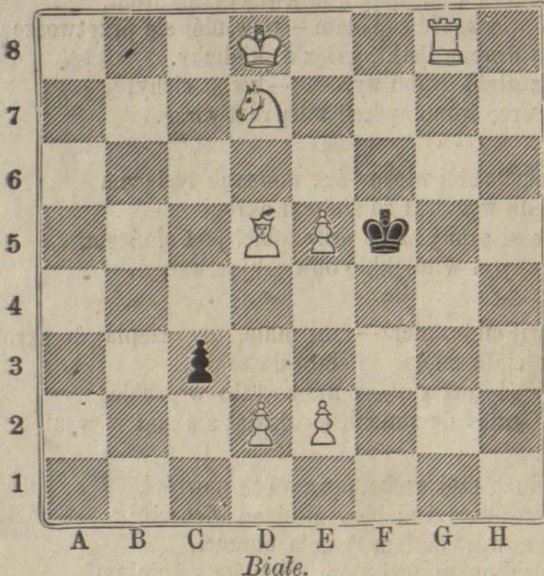
(Ob. dodatek.)

Szachy.

ZADANIE XXIV.

Białe zaczynają i dają matę za 3-ém posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 23.

Białe.

Czarne.

- | | |
|--|--------------------|
| 1) G2—E4 | 1) F4—E4 białą. |
| 2) E3—G2 | 2) E4—E2 białą (*) |
| 3) D4—F4 | 3) Jakkolwiek. |
| 4) E7—D6 lub F6 + i mat. | |
| | (*) 2) E5—F5. |
| 3) G2—H4 + | 3) F5—E5 lub F4. |
| 4) E2—E4 białą, lub D4—E4 białą + i mat. | |

Gdyby czarne, zamiast wziąć lafra E4, pojechały inaczej, mat następuje za 3-ém posunięciem.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 30. Pamiętajmyż pokąd pora, iż jutro schodzi do wieczora. (Dodatek.)

nikt darmożjada i leniwego długo u siebie trzymać i karmić nie lubi. Więc starając się trafić na dobry humor właściciela, skrada się znów do dworu, a przeprosząc i obiecując poprawę, wraca do dawnych swych obowiązków.

Faktor małego miasteczka.

Każda najlichsza u nas miescina, jako punkt zśrodkowujący w sobie zwykle ruch handlowo-przemysłowy okolicy, oprócz kupeów, kramarzy, kupców różnego rodzaju i znacznej liczby proletariatu izraelskiego, żyjącego niewiedząc jakim sposobem, posiada także koniecznie i faktorów.

Znać tak przywykliśmy do nianiek, tak nam samym nie chce się nic zrobić, czyli też tak nie czujemy się na siłach do samodzielnej, choćby najdrobniejszej czynności, że żadnego interesu lub sprawunku bez pomocy faktorów załatwić nie umiemy.

To też tacy faktorzy, nieraz bardzo liczni stosunkowo do obszerności miesciny, znajdują zawsze utrzymanie i czasem nawet dość znaczne zbierają zyski.

Z miast naszych prowincjonalnych, Lublin posiada ich podobno stosunkowo najwięcej i faktorzy lubelscy mają swoją odrębną, charakterystyczną cechę, znani z gadatliwości, natręctwa i ruchliwości.

W małych miasteczkach jest ich zawsze conajmniej kilku, kręcących się około zajazdów, a najwięcej około głównego, który zazwyczaj pompatycznym mianem Warszawskiego bywa udarowanym.

Któż nie zna podobnego małomiasteczkowego zajazdu? Zwykle on położony na najpokaźniejszym punkcie, w pobliżu poczty, magistratu, apteki lub cukierni. Ogromna tablica, jaskrawymi kolorami pomalowana, zdala już bije w oczy sążnistymi literami: „Hotel Warszawski.“

Zajazd taki, będący w posiadaniu starozakonnego gospodarza, znanego wszystkim w odległym promieniu i znajdujące wszystkie, który obok tego ma jeszcze skład win i korzeni, składa się pospolicie z kilku brudnych gościnnych izdebek, zwanych numerami, i z kilku mniej więcej już z komfortem urządzonych izb, w których mieści się rodzina gospodarza i bilard, uczęszczany przez dygnitarjat miejski i przejezdnych z okolicy.

Przed takim zajazdem koncentruje się zwykle ruch małomiasteczkowy: wjeżdżają i wyjeżdżają bryki, bryczki, dryndule, wózki, a nierazko zjawia się i powóz jako pokaźniejszy, który już szczególną zwraca na siebie uwagę tak ciekawych mieszkańców miasteczka, jak i samego gospodarza zajazdu.

Tam to około bramy wjazdowej czyhają na przejezdnych faktorzy, wprawnym okiem zgadując od razu żądania przybywających, i następczą się im z natarczywą usłużnością. Ponieważ podobnych faktorów jest kilku w miasteczku, rywalizacja więc między nimi ogromna, zawiść, zazdrość i niezgoda straszna: ubiegają się jeden przed drugim, psują sobie wzajemnie interesa, odmawiają i ciągną nieraz każdy do siebie potulnego przybysza w nader natarczywy sposób, bo za poły, kłócą się ustawicznie i patrzą na siebie okiem nienawistnym.

Wjeżdżasz do miasteczka po strasliwym bruku, podążając na popas do owego pełnego komfortowych nadziei hotelu. Pierwszą figurą która cię wita, trzęsąc jarmułką, jest Szmul faktor.

— Proszę zajechać; ja się wystaram dobrego stancyje i koniom miejsce wygodne.... A może co trzeba? to ja pomogę — woła już zdala, biegnąc obok powozu z rozwianymi pejsami i połami od zabłoconego chałatu, gubiąc po błocie pantofle.

I nie czekając na twoją aprobatę, wbiega naprzód do zajazdu, przygotować ci miejsce. Tymczasem zjawia się drugi faktor zadyszany, który opóźnił się widocznie i woła:

— Może jaśnie pan mnie weźmie.... bo tamten gałgan, szachraj..., on tylko tumani... a nie porządnie nie robi.

Dziękujesz mu, rozumie się, bo dwom faktorom płacić nie masz ochoty, a wiesz dobrze że Szmul potem natrętnie będzie się domagał należności za swą fatywę i targować się z tobą aż do uprzykrzenia.

Gdy cię Szmul gwałtem prawie ulokował w brudnej i ciasnej stancyje, już od téj chwili jest nieodstępnym twoim towarzyszem: bawi cię opowiadaniem ważniejszych faktów życia miasteczkowego, następczą rozmaite interesa, w których swe pośrednictwo ofiaruje i zachęca do kupna sprawunków, poręczając za ich dobry gatunek i taniłość niezwykłą.

W kramach i sklepikach, gdy masz jakiś sprawunek do załatwienia, razem z tobą niby się targuje, cmoka ustami, narzeka na dużą cenę, perswaduje po polsku sprzedającemu, a w przestankach szwargocze z nim coś po żydowsku.

Toż samo dzieje się i w pośrednictwie Szmula przy kupnie lub sprzedaży zboża i przy innych interesach.

Gdy jesteś w konieczności pożyczania pieniędzy, choćby na wysoki procent, u jednego z izraelskich kapitalistów, których conajmniej jednego posiada każda choćby najlichsza miescina, wówczas uważasz Szmula za nader pożytecznego pośrednika i doradcę i poddajesz się jego kierunkowi z posłuszeństwem, do najdrobniejszych szczegółów posunięciem.

Bo przystęp do podobnego Krezusa nie tak łatwy. Jako możny i pienieżny, ma on swoje chwile dobrego i złego humoru, swoje fantazyje, dziwactwa nawet, z którymi trzeba się najprzód poznać i obrachować, ażeby interesu nie zepsuć.

A Szmul tak doskonale zna jego usposobienie! On wie niemal co ów Krezus myśli o której dnia godzinie, co wnosić po jego kiwaniu głową, mrugnięciu oczów, przyglądzeniu brody i t. p.

Otóż więc przed dostaniem się do owego przybytku zbawczego, Szmul odbywa kilkorazowe bieganie od niego do ciebie.

Chodzisz niespokojny po brudnej stancyje, pragnąc jaknajśpieszniej do skutku doprowadzić interes dla ciebie wielce niekorzystny, ale konieczny. Wtém Szmul przybiega zadyszany, mówiąc że Mojsie Hersz śpi.

Czekasz więc jeszcze.

Po chwili przybiega, że już się obudził, ale że się jeszcze przeciąga i że jakiś nieswój.

Zaniepokojony nieco tym symptomatem, czekasz dalej i niecierpliwisz się.

Następnie donosi ci Szmul, że wspomniął już delikatnie o interesie i że na to Mojsie Hersz mrugnął, co za dobrą przepowiednię uważać należy.

Nareszcie idziesz z pewnym rodzajem niespokojności i obawy o rezultat interesu, a w towarzyszącym ci Szmulu widzisz jedyną podporę, jedyną nadzieję i trzymasz go się jako deski ocalenia.

A przez drogę Szmul cię jeszcze uczy, jak potrzeba mówić, co Mojsie Hersz lubi, a czego nie, co robić i mówić na to, jak on powie tak lub owak. Zatrzymując pilnie w pamięci wszystkie te instrukcje, zaczynasz rozmowę z owym kapitalistą, podczas której Szmul jako sufler mruga na ciebie, głową kiwa i gestami daje ci znaki, jak i kiedy masz się odzywać.

Interes idzie jak z kamienia. Pożyczający żąda ogromnego procentu; tracisz cierpliwość, zapominasz się i rozprawić zaczynasz energicznie, przekonywając, już nie zważając na Szmula, który syka, cmoka ustami, rusza ramionami i niecierpliwi się. Wreszcie, po kilkogodzinnych targach, umęczony, spocorny, zirytowany, zawarłszy umowę o wiele niekorzystniejszą aniżeliś sobie obiecywał, załatwiasz przeciw ów nieszczęśny interes. A na odjeździe Szmul skrupulatnie likwiduje ci najmniejszą swoją fatywę, wmawiając w ciebie, że gdyby nie on, nigdybyś tego interesu nie zrobił, i musisz mu so wicie zapłacić za jego *szczerę* i *bezinteresowne* usługi.

Wycieczka na Łomnicę tatrzańską

26 lipca 1865 r.

(Dalszy ciąg).

Po godzinie stąpaliśmy już młakami, które przerzynane licznymi żyłkami potoczków, zalegają znaczną część dna doliny Pięciu stawów. Tu natopkałem swobodnie pasącą się trzodę wołów, które zrazu miałem za owce, gdym na nie z pod Zawratu spoglądał. Równocześnie spodziewałem się gdzieś

w pobliżu ujrzeć jaki szałas, którego jednak daremnie szukałem. Zatrzymałem się dopiero okiem na słupie dymu wznoszącego się z pośród głazów, opodal północnego brzegu Wielkiego stawu. I tam to, według orzeczenia Wali, miała być Cicha koliba; omiędliśmy ją, wzięwszy się nieco na lewo. Wszędzie pomiędzy złomami granitowymi rozkracza się tu kosodrzew, a wśród niego w namule, osobliwie przy niższych stawach, kwitną bujne rośliny alpejskie, jak gdyby się nie lękały mroźnego tchu wiatrów północnych. Z pomiędzy nich wpadła mi osobliwie w oko największa i najbujniejsza goryczka o żółtym kwiecie (*Gentiana punctata*) i z nastrzępioną ślicznie główką różowo-fioletową rojnik górski (*Sempervivum montanum*).

Słońce zapadało już za turnie, gdyśmy zaczarowane zwierciadło Wielkiego stawu obchodzili. Mimo pośpiechu przewodnika, starającego się przed nocą jeszcze zdążyć do Morskiego oka, zatrzymałem się nad sławną siklawą (1), wprowadzającą wody z bratnich Pięciu stawów. Długo nie mogłem oderwać oczu, uderzony ogromem piękności; nie mogłem oderwać uszu od niepojętej gry tonów siklawy, niby srebrnej struny rozpiętej na granitowej arfie.

Idąc przez uplazistą Świstówkę, poglądałem jeszcze ciągle to w malowniczą, głęboką dolinę Roztoki, to na dziki, najeżony ponad nią Wołoszyn. Na zachodzie coraz silniej czerwienieje niebo: pochodnia dnia zgasła; rąbki obłoczków tylko obwiedzione różem, niby eteryczne wieńce, unoszą się wysoko ponad skroniami Tatr zadumanych.

Wychodzę na ostatni garb Świstówki, a w mroku wieczornym nowe, nieznanne mi otwarły się światy. To dolina Białki, a tam w zacięciu z pod olbrzymich turni świeci się zwierciadło tajemnicze Morskiego oka, wyżej zaś wyzięra z jeszcze ciemniejszego tła Czarny staw.

Z zapadającą nocą doszliśmy górnego krańca regli. Tu przy ogniu buchającym ściętego smereka, pod gołębim niebem, zasianem milionami światów, szyszających może z maleńkości ogromów naszych, przepędziliśmy noc dziwnie piękną, prawdziwie lipcową.

Nazajutrz 21 lipca powitałem ze wschodem słońca niewysławione Morskie oko. Cała okolica w rannym świetle innej nabrała barwy; zdawało się prawie, że nie ta sama co wczoraj. I Morskie oko w innej, świetniejszej przedstawiło mi się barwie. Mniemałem osłupiały, że przebywam w jakiejś zakłętej krainie, gdzie jeden czar wywołuje drugi bez końca, gdzie i najbujniejsza wyobraźnia okazuje się czezą i bladą.

W tyle, nad ciemno-szmaragdową powierzchnią tego potężnego stawu, o 57 morgach 534 sążniach kwadr. pow., w wysokości 4212' n. p. m. (według Zejsznera, 4460 według Fuchsa, a 4500 wedł. Koristki) wznosi się majestatycznie ogromna Mięgużowska turnia, przyglądająca się w czystym zwierciadle Morskiego oka z dumą własnemu, promieniami wschodzącego słońca oblanemu obliczu; przy niej na prawo osamotniony Mnich ranne zdawał się szeptać pacierze. Na lewo (wschód) opasują zębate rysy dzikie wnętrze kotliny Czarnego stawu (4986 według Fuchsa, 5000 według Koristki n. p. m. o 37 morgach 66 sążniach kwadr. pow.) i rzucają olbrzymie cienie pod stopy Mięgużowskiej. Tu i owdzie żlebami bieleją płaty śniegów, topiących się w przezroczystym zwierciadle jeziora. Nad brzegami, zwłaszcza w północnym półkolu, czernieją ciemnozielone krzaki kosodrzewu, nad którym gdzieniegdzie skarłowaciałe, uschnięte wyglądają świerki.

Spuściłem się nad brzeg i wpatrywałem się z nieopisaną rozkoszą w cudnie piękną głęb, w żwir granitowy, który za najmniejszym załamaniem się promieni, w najpiękniejszych tęczowych mienił się barwach. Cały brzeg przedemną zdawał się wysadzony iskrzącymi brylantami. W tym otoczeniu, w tym cudownym stroju, Morskie oko prześcięło obrazy najbujniejszej wyobraźni o podziemnych dyamentowych pałacach czarnoksiężników.

A jakie tu życie w tych kryształowych topielach! Gdy na chwilę nieruchome wtopisz w nie oko, wtedy zciha podpływają ostrożne pstrążki (*Salmo fario*)

(1) Tak nazywają Podhalanie każdy wodospad.

czasem musną nieznacznie skrzelami i zatrzymają się chwilę na brzegu, jakby się chciały zapoznać z ciekawym wędrowcem. Wtém nagle, przy najmniejszym ruchu stojącego na brzegu człowieka, jak strzały mkną w ulubione głębie. Po chwili wzrok mój znów gubił się w strzępatych Rysach, lub piął się po oświetlonej, tu i owdzie żlebami ocienionej Mięszuszowskiej Turni, lub na zakapturzonem spoczywał Mnichu.

Spędziwszy więc może niż godzinę w podziwie jednego z najśliczniejszych tatrzańskich obrazów, spuściłem się lasami w dolinę Białki, liczącą się górą swą częścią już do Tatr spiskich. Biegu strumienia Białki trzymaliśmy się jako głównego drogo-skazu; rzadko odstępowałyśmy jej brzegów, czasem bardzo urwistych i pionowo zapadających w łożysko zawałone prawie jak śnieg białymi złomami granitów. Pnie potrzaskane piorunem, wyrwane z korzeniami od wichru, leżą tu i owdzie na zielonem posłaniu bujnych borowin, lub słabo oparte o stojących jeszcze zdrowo towarzyszy, grożą za najbliższą burzą wywrotem. Łożysko potoku i równiki nad nim zawałają miejscami pnie przeróżnej grubości, częścią już zgniłe, a natenczas dokoła omszone, częścią zaś jeszcze niedawno powalone i świeże, które muł zmieszany z opadłymi cetynkami (2) skrzętnie oplata.

Coraz bardziej cichnie szum bryzgliwej Białki, bo im wyżej w górę, tēm więcej ubywa potoków, zasilających rączy strumień. Bór się przeredza, a zarazem i postać okolicy coraz wyraziściej się uwydatnia. Jesteśmy w obszernej, głębokiej kotlinie, której dno jeszcze lasem, a boki kosodrzewem porastają. Wkoło nas piętrzą się nagle w błękit wystrzelone turnie. Na prawo z poza smereków przebija z tła oddalonego przecudna siklawa z wysokoległych stawów Czeskich, a naprzeciwko bieleje się przed nami wstęga siklawy, spadającej ze stawów z pod Wysokiej (8,021' F.).

Dalęj na lewo, czyli na południowy wschód, przez kosodrzew w turnie! O gdyby już być tam czempredzję! pomyślałem sobie, wielkie czując znużenie. Słońce tymczasem wzbilo się na sam szczyt niebios, a choć w Tatrach, jednak niemilosierdzie nas paliło. Gasząc prawie przy każdym zdroju co chwila doskwierające pragnienie, wyszliśmy jakoś za potokiem w górę, do pierwszego dość małego stawu, zwanego na mapie Fuchsa Zabim, z kąd już tylko w południowym szliśmy kierunku. Dolina, którąśmy zdążyli do widnej w dali, bardzo wysoko wzniesionej przełęczy Polskiej (6889' F.) ścieśniała się coraz więcej, coraz bardziej dziczała i przechodziła w kotlinę przestroną, zamkniętą z trzech stron przepaścistymi ścianami.

Wtém przedemną, wśród dzikich, czarnych wskrót turni, na wysokości 6319' F. zabłysła nagle wzorzysta szyba cudnego Polskiego stawu, zwanego na mapie Fuchsa Zmarzłym. Tylko środek jego odtajał; lśnił się ciemno-zielono, dalej czarną prawie głęb opasywała od środka ślicznie seledynowo nabiegła, od brzegów zaś biała wstęga kryształowego lodu. Dokoła cisza jak w grobie.

Bokiem turni, na zachód od Polskiego czyli Zmarzłego stawu, puściliśmy się ku Polskiej przełęczy na przełaj przez ruchliwe piorgi, ogromne ławy śniegów zbiegających ku stawowi i przez graniczące tuż z niemi upłazki, porośnięte obficie kuklikiem (*Geum montanum*), a najwięcej białym, nieco różowawym jaskrem (*Ranunculus glacialis*). Na tych upłazkach znajdowałem nad moje spodziewanie prawie pod każdym kamieniem, i to czasem po kilka stoniek (*Chrysomela islandica*) i sztykosza właściwego Tatrom (*Pterostichus blandulus* Miller); rzadziej napotykałem szczypicę halną (*Carabus glaciatus* Miller); rzadko też łąził nadrach (*Otiorynchus tatricus* mihi), bardzo podobny do pirenejskiego. (*O. monticola* Germ.) Połowu bogatszego w osobniki nigdy się nie spodziewałem na wyżynach, gdzie już prawie życie jawnopłciowych roślin ustaje, gdzie śniegi aż dotychczas zdołały się oprzeć promieniom lipcowego słońca.

Zajęty korzystnym zbieraniem, postępując powoli w górę, wyszedłem prawie bez znużenia na samą Polską przełęcz (6889' n. p. m. według Fuchsa).

(2) Właściwie *cetyna*, z czeskiego lub słowackiego *četina*, tyle co nasza choina, gałązka.

I znów nowy świat wystąpił z południa przed oczyma mojemu. Tuż przedemną dolina Felki, na prawo nademną majestatyczny szczyt Gierlachowski, najwyższa turnia w Tatrach (8414' według Fuchsa, 8374' wedł. Koristki), a naprzeciw rozległa nizina Śpiżu zasianego licznymi osadami, tworzyły trzy główne pociągi pędzła w tym olbrzymim krajobrazie..

Tu wypocząłem trochę, jak to zwykle czyniłem na każdej przełęczy, dla nasycenia się cudownym widokiem. Oddychając lekkiem, przeredzonym powietrzem szczytów, czułem się nadzwyczaj rzeźwym i swobodnym i jakoś mimo woli przypominałem sobie słowa poety:

Jak tu tchnąć miło, jak tu przyroda
I wiecznie piękna i wiecznie młoda!
Możeli człowiek, który ma serce,
Więzić się pośród murów ciasnoty,
Widząc pod sobą takie kobierce,
Widząc nad sobą takie namioty? (3)

Wtém na głazie siadła muszka, dalej i druga smutnie brzęcząc przylatuje do swęj towarzyski, jak gdyby z nią chciała podzielić samotność. I znów cisza grobowa; czasem tylko głucho zaświszcze niespokojny wichur między turniami.

Wziąłem się nareszcie do odwalania piorgów. Nagle z pod kamienia coś szybko pierchło pod głąz dalszy. „Ruda mysz! mysz!“ zawołałem i wnet z zawziętością odwaliliśmy złomy naokoło mniemanego schowku halnej myszy. Jużemy sprzątnęli głazy, które z hurkotem powtarzającym się bez końca leciały gdzieś do Zmarzłego stawu Polskiego, jużemy pewni zdobywszy dotarli prawie do samego przytułku ściganego zwierzątka, a ja już do kociego zabiérałem się skoku, gdy wtém mysz, świadoma niebezpieczeństwa i mędrsa od nas, corychłej z niebezpiecznego wyrwała się położenia i prawie z pod nóg naszych w poblizki piorg zemknęła. „Oho! przepadła na wieki!“ zawołał Wala; daremnie sobie poobrywał pazdury! „Dalsza pogoń może byłaby nas rozgąrczkowanych przyprawiła o utratę życia; daliśmy więc pokój śmieszemu polowaniu, z żalem jednak, z powodu postradania ciekawego okazu dla mało jeszcze znanęj fauny myszy naszego kraju, a zwłaszcza hal tatrzańskich.

Z Polskiej przełęczy szybkośmy się spuścili na morze nawalonych granitów, z pośród którego tuż pod olbrzymim Gierlachem czyli Gierlakiem, jak wymawiają Zakopiańcy, połyskuje się szmaragdowe, owalne zwierciadło Długiego stawu (6099' n. p. m.) Nieco dalej na południe od owego jeziora ustają zwaliska granitowe, a natomiast dno doliny wysyła zielony dywan, natkany najśliczniejszemi halnemi kwiatuskami. To ogród botaniczny sławnego Wahlenberga. Na lewo niewielki wznosi się pagór czyli bula. „Tu obacymy świstaki,“ mówi pocichu Wala. Zakradamy się więc milczkiem popod ciekawą bulę. Wtém Wala, znacząco machając ręką za siebie, przypiera się do sążnistego głązu, a wzięwszy kapełusz w lewą rękę, nieznacznie wychyla głowę i zagłada w upłazistą kotlinę, gdzie się miały paść świstaki „A jest?“ zapytuje niecierpliwie rekognoskującego świszczarza, który widać oddawna był wprawny w swoje rzemiosło. Z przeczącego poruszenia głową poznałem, że naprózno miałem nadzieję spotkać się choć raz w życiu z temi lubemi hal mieszkańcami. „Świstaki już się pochowały, skoro nas tylko na Polskiej psełęcy obaczyli!“ rzekł niezadowolony Wala.

Zeszliśmy tedy na upłaz, pokryty najpiękniejszą zielenią. Tu i owdzie pod zwieszającymi się granitami, służącymi za powałę mieszkań świstaczyc, nadybywaliśmy częścią zimowe, częścią letnie nory. Przy wnijsciu do letnich nor czyli letników, widziałem świeżo wygrzebaną ziemię, która jasno wskazywała na pobyt rozpierchłych gdzieś teraz świstaków. Opatrzywszy dokładnie dziedzinę ciekawych tych zwierząt, spuściliśmy się w kosodrzew ku stawkowi Felki. W poblizku tego stawku (5187' według Fuchsa, 5066' według Koristki) na lewo ciągnie się granitowy wał, który w swych żyłach zawiera liczne kryształki granatu. Kilka takich kamieni wzięłem na okaz.

(3) Kirgiz Gustawa Zielińskiego.

Słońce się już ku zachodowi chyliło za poszarpany wierch Gierlachowski, już i mgły złowieszcze poczęły się gdzieniedzie nad turniami układać, wkrótce całe niebo zaciągnęło się chmurami, a do Szmeksu było jeszcze z milę drogi. Wzięliśmy się więc na lewo, czyli na wschód pod górę i wkrótce przez karczowiska zrabanego kosodrzewu wyszliśmy na obniżony grzbiet, odgraniczający na wschód dolinę Felki, a zwany u Niemców spiskich Kreuzhübel (4502' F.).

Ztąd powtórnie rozszerzył się nam widok przestrony na całą południową część Śpiżu i na węgierskie Niżne Tatry. Niebo coraz ciemniejszymi odziewało się chmurami. Nie była to już uśmiechająca się zielenią uroczą nizina, co tam za płatami ogromnych borów się ściele; posępno równie przed nami, jak i tuż za nami ponuro w czarnych turniach. Podnóżem potoczystego Nosa Królewskiego zdążamy odtąd ciągle drożyną wygodną przez smereczyny ku białym domkom Szmeksu, które już zdala, niby jakieś nadzwyczaj białe plamki wśród czarnego boru, zwracały moje oko ku południowo-wschodniej stronie. Zeszliśmy wreszcie w głąb boru, w siny bór modrzewiowy. Droga wlatują tu i owdzie liczne ęmy, a rozmaite drobne owadki wałęsają się po zaroślach otwartych porąb i przerywają mile wieczną ciszę; dalej zaszumiał potoczek, wyjrzał i domek leśniczego z poza brzoź i smereków; nareszcie jakiś gwar przerywany przedziéra się przez gąszcze smereczyn. Z zapadającym zmrokiem przybiliśmy nakoniec do uroczego Szmeksu z taką radością, z jaką żeglarz bezpieczną wita przystań.

Szmeks, jedyny w Tatrach zakład kąpielowy (wedł. Koristki 3166', wedł. Fuchsa 3171' n. p. m.) szczytu się nadzwyczaj pięknym położeniem wśród boru smerekowego, u stóp Królewskiego Nosa. Ku południowi prześliczny widok na bogatą dolinę spiskiego Popradu i węgierskie Niższe Tatry; od zachodu sterczy dziki szczyt Gierlachowski, od północy zaś wznosi się łagodnie zakrojony Nos Królewski; dalej wzbija się turnia Lodowa (8324' n. p. m.) i najwybitniej występujący stóg olbrzymi wspaniałej Łomnicy (8324' według pomiarów tryangulacyjnych, 8342' wedł. Fuchsa).

W Szmeksie przymusowi sztuki ludzkiej ulega na czas letni dzika, niesforna przyroda alpejska; domki gościnne i kąpielowe, zbudowane w guście szwajcarskim, a uwiecznione dokoła klombami woniejących krzewów i kwiatów, już zdala mile wabią do siebie. Białe, drobnym piaskiem wysypane chodniki, pną i wyginają się rozmaicie pomiędzy cienistemi smerekami i sinemi modrzewiami; wszędzie widać pracowitą rękę ludzi, zamieniającą w rozkoszny eden od wieków nietknięte pustki pod najwyższymi szczytami Tatr. To tēz wejście Szmeksu nadzwyczajnie jest ujmującym. Jest tu tyle razem w harmonijną całość ze sobą połączonych, częstokroć najsprzeczniejszych widoków, tyle wdzięków ukrasających okoliczne otoczenie, że odjąwszy nawet Szmeksowi kąpielowe znaczenie, które zresztą i tak nie jest znamienite, byłby on mimo to jednym z najprzyjemniejszych miejsc pobytu wśród gór takich, jakimi są właśnie Tatry. Niedziw więc wcale, że Szmeks w porze letniej tyle zwabia do siebie gości, pragnących przy zdroju słabiej szczawy żelazistej (4) ożyć zdrowem gór powietrzem; niedziw, że ten właśnie zakątek najulubieńszem jest miejscem, gdzie śmieli zwiedzacze najwyższych szczytów Tatr, wraz z badaczami przyrody drogic gromadzą skarby, by je potem w dalekie unieść strony.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O PODANIACH I KLECHDACH LUDU Z OKOLIC WARSZAWY.

Przez Mściława Kamińskiego.

Dawno to już powiedziano, że ludzkość, w miarę postępowego rozwoju, o ile zyskuje na oświacie i ogładzie, o tyle traci na oryginalności i cechach każdemu ludowi i indywiduum właściwych. Oryginalność ta, jakkolwiek może w obec zdrowego rozsądku

(4) Węglanu żelazawego 0,01276, gazu kwasu węglowego 13,63380 ziarn na 7680 ziarn, według rozbioru Anreła Scherfel'a (1855).

wadliwa, zasługuje przecież na bliższe poznanie, już jako mniej więcej samodzielny wyrób ducha, już jako przejaw indywidualnej lub narodowej fantazy, już wreszcie jako materyał służący do wyświetlenia niejednej prawdy filozoficznej lub dziejowej. Rozum może i powinien wyśmiewać przesady i zabobony, może nie dawać wiary wieściom gminnym; niewolno mu jednak gardzić przejawami ludowej fantazy, chociażby one zdały się na pozór zupełnie błahemi. Wszystkie bowiem te przejawy, są to głoski hieroglificzne, niezrozumiałe dla profana, nudne i obojętne dla światowca, ale nieocenione dla przyszłych Champolionów etnografii. Tymczasem zadaniem naszym powinno być zbieranie materyałów, przygotowawcze egieł, z których ma powstać przyszły gmach. Dziś jeszcze zbiory tego rodzaju są na dobie, źródło twórczości ludowej nie wyszło zupełnie; ale to pewna, że z dniem każdym wysycha.

Ktokolwiek miał sposobność bliżej z tym przedmiotem się obeznać, pewnie nie obwini tych ostatnich słów naszych o przesadę. Podania ludowe coraz rzadziej dają się słyszeć, baśniom o strachach tylko dzieci dają wiare, szatan i czarownica stały się mytem, przysłowia wychodzą z mowy potocznej, a nawet pieśń rzadko kiedy monotonna prozaiczność przerywa. Niedosć tego, jeżeli się i uda zbieraćowi rozwiązać usta któremukolwiek z tegoczesnych wiejskich rapsodów, to rzadko które podanie lub pieśń w pierwotnej usłyszy nieskazitelności. Rzecz niepojęta, jaki tu czasem nieład panuje! Raz są to urywki z rozmaitych całości pozbiórane, to znowu niby jakaś całość, ale błada, bez życia, z wyraźnymi szczerbami, których opowiadacz nie umie wypełnić, bo stracił wiare w rzeczy opowiadane, bo fantazyja jego pobladła w uściskach troski o chleb powszedni.

Takie zubożenie dla tej „literatury kopalnej“, jak ją pięknie wieszcz nasz nazwał, wzrasta w miarę zbliżania się ku większym ogniskom cywilizacji i ruchu. Lud nadewszystko zamieszkujący okolice Warszawy, coraz więcej traci swe charakterystyczne cechy i do ogólnego zdąża poziomu. Nie idzie za tym już zupełnie wytrzeźwiał i wszelkich pozbył się przesadów; bynajmniej, zabobony krzewią się sobie w najlepsze, ale z rozbijałych chwastów, stały się drobniuchnymi pasożytami, które niewiedzieć z kąd i jak na ten świat przychodzą. Z baśni zaś i klechd ludowych pozostały same tylko szkielety, którymi się chyba pastuszek wiejski, w braku innego zajęcia, zabawić ma ochotę.

Od jednego z takich pastuszków słyszeliśmy kilkanaście baśni, o których w krótkości pomówić zamierzamy. Jedne z tych baśni są tylko wariantami znanych już i ogłoszonych drukiem klechd ludowych, zarówno nad Wisłą, jak nad Bugiem i Wartą upowszechnionych; inne przeciwnie należą do rzadszych i, o ile wiemy, nigdzie dotąd drukowanymi nie były. I te i tamte zasługują na bliższe poznanie. Byłoby to jednak nadużyciem cierpliwości czytelników, gdybyśmy tu chcieli w całości wszystkie te baśnie opowiedzieć, ile że używają one na świecie smutnej sławy środków usypiających. Ograniczymy się tedy na pobieżnym przegłądzie głównych postaci tych tworów ludowych, o ile te dotyczą baśni przez nas zebranych.

Do najpospolitszych należą: szatan, czarownica, baba-jędza, sierota i siostróbóczyń. Klechdy tego rodzaju w całym kraju są upowszechnione. Przeciwnie, bajki opiewające o pannie zamienionej w kaczkę, o koniu tajemniczym i t. p. należą do rzadszych. O jednych i drugich zamierzamy tu słów kilka powiedzieć.

Diabeł w powieściach ludu zupełnie jest inny od średniowiecznego szatana. Gdy ten ostatni, pomimo swoich psot i figlów poziomych, zachował całą swą moc, cały że tak powiemy majestat piekielny, diabeł podał i klechd ludowych jest jakąś istotką złośliwą wprawdzie, czyhającą na dusze ludzkie, toczącą wieczną walkę z człowiekiem, ale pomimo tego tak błazenkowatą, że pierwszy lepszy chłop, co to ani trzech przeliczyć nie umie, i w pole go wyprowadzi, i kupi, i przeda. Nawet go zabić z łatwością można, byle tylko posiadać sekret. A sekret ten nie sądzicie aby tak trudny był do posiadania. W jednej naprzykład baśni brat, znalazłszy w pie-

kle swoje siostry, powydawane przez chciwego ojca za czartów, pyta naiwnie swego piekielnego szwagra, czy jest jakiś sposób zabicia szatana?

— A jest, odpowiada łatwowierny diabeł, ale żaden człowiek o tym nie wie.

— Żartujecie chyba, szwagrze, powiada bohater baśni; to być nie może by na was był jakikolwiek środek. Któżby się zmierzył z taką potęgą?

— Kto? odparł czart, z marnego piórka nasza śmierć wyjść może.

— Baj baj! a to jakim sposobem?

— Oto bardzo prostym. Bierze się piórko takie (tu mu pokazał), ścina się niemię gruszę co podług palca mego rośnie, z gruszy wyskoczy sarna, którą gdy zabijesz, wyskoczy zając, a gdy tego zgładzisz, kaczkę wyleci, a z tej kaczki wypadnie jajko, od którego życie moje zależy; bo ktoby je rozbił, toby mnie życia pozbawił. Nie potrzebujemy tu dodać, że klechdowy bohater nie zaniedbał skorzystać z tej recepty, przez samego pacjenta podyktowanej.

W inną klechdzie podany jest jeszcze łatwiejszy sposób na zabicie diabła, lubo i to prawda, że ten ostatni zaledwie wart tu diabełkiem się nazywać. Mieszkał on sobie pod wielkim kamieniem, szkody nikomu nie wyrządzał, owszem większą część roku spał snem sprawiedliwych, i wówczas tylko gdy słońce zaświeciło, wybiegał ze swą kryjówki i, piejąc jak kogut, tańczył do upadłego. Jakis strzelec, znudzony widząc ciąglem karnawałem, nabił strzelbę srebrną złotówką, a gdy strzelił, biedny diabełek w smołę się rozlał i odtąd znikł bez wieści.

Oba te sposoby zabicia diabła, a mianowicie ostatni, znane są i w innych okolicach, ale zachodzą pomiędzy nimi pewne różnice. Według Wójcickiego (Zarysy, tom III), diabła co kręci wichrem zabić można srebrnym guzikiem, albo kulą z tego kruszcu, mierząc z lewego oka. Drugi zaś sposób na tym polega, że ujrawszy czeredę diabłów przez dziurkę od sęka, należy rzucić na nich piérwszym jajem jakie kura znieśie w wigilię Bożego narodzenia. Na Litwie znowu drzewu jarzębinowemu przypisują własność zabójczą dla szatana.

Ulubionem siedliskiem diabła jest wierzba roki-cina, a to nawet tak dalece, że w jednej z klechd naszego zbioru szatan poprostu nazwany jest *Rohitq*. W wezwaniu tego księcia ciemności żadna nie zachodzi trudność, trzeba tylko wypowiedzieć pewną formułę, którą niżej podamy, a usłużny czart natychmiast się zjawi. Owszem, często niewołany i nieproszony przychodzi do człowieka, wówczas gdy się sam tego spodziewa, i jeżeli nie może zahaczyć jego duszy, płata mu figle, jak gimnazyasta źle wychowany. Myliłby się jednak ktoby mniemał, że szatanowi dana jest niegraniczona wolność złe czynienia. Wolno mu być złym, ale tylko do pewnego stopnia; Sprzeciwia się to może tradycyi, ale to pewna, że przemawia na korzyść ludu, który i szatanowi każe być sprawiedliwym. Przykład lepiej tę prawdę wyjaśni.

Obrazki z dawnych czasów,

przez Wielisława.

HONOR MIESZCZANKI.

(Dokończenie.)

Bielany roku 1808 miały być nader świetne; spodziewano się liczego zjazdu całej warszawskiej elegancyi i wielu owoczesnych znakomitości, szeptano nawet pocichu, że bawiący tu król saski z córką swoją infantką pewno je odwiedzi. To też sklepy, magazyny, warsztaty od miesiąca zawalone były obstalunkami na ten dzień uroczysty. Krzątano się, biegano, latano od rana z niesłychanym pośpiechem; wszędzie panował ruch i gwar wielki, a radość była powszechna, bo niebo czyste, bez chmurki, zapowiadając pewną i trwałą pogodę, zdawało się sprzyjać licznym i różnorodnym zamysłom.

Państwo Justusowie, po mozolnych zajęciach tygodnia całego, lubili w dzień świąteczny użyć wypo-

czynku i swobody pozarogatkowego życia. W tym względzie mieli swoje tradycyjne zwyczaje, od których szczególnie pan Modest nie odstępował nigdy. Od chwili ich pobrania się, program uroczystości drugiego dnia Zesłania ducha świętego zawsze był jednakowy. Rano udawali się na odpust, po nabożeństwie zjadali w miejscowej restauracyi wesoły w gronie przyjaciół obiad, po obiedzie szli na przechadzkę, a przypatrzwszy się dowoli zjazdowi świata eleganckiego Warszawy, z zachodem słońca wracali na wieczną do domu.

W roku o którym mowa, nic nie zaszło takiego, coby zmienić mogło ich projekta; dlatego też od tygodnia dzieci miały zapowiedziane przyjemności jakie ich czekały. O godzinie ósmej z rana, jak to od lat siedmiu zawsze bywało, przed ich mieszkanie zaszła porządna remiza, najęta na cały dzień na tę wyprawę, a w kwadrans później cała rodzina uradowana zajęła w niej swoje miejsca.

Hrabia Seweryn doskonale był zawsze o każdym kroku swój bogini zawiadomiony, wczem zresztą nie było nic dziwnego, bo przez pięć lat męczeńskiej miłości dla pięknej Małgorzaty, mógł łatwo poznać zwyczaje jej domu. Przez cały ten przeciąg czasu rzadki był dzień, aby chociaż na chwilę bóstwa swego nie zobaczył, to w kościele, to na targowisku, to na przechadzkach w miejscach publicznych. Był czas że żywił w sercu najdziwniejsze projekta, mające na celu zbliżenie go do jej osoby: chciał się zapisać na ucznia cechu jubilerskiego, lub nająć się pod obcym nazwiskiem, przebrany za stróża, do ich domu. Niekiedy znów, pod rozmaitemi pozorami, wcisnął się do magazynu z drobnymi obstalunkami. Pan Modest, szanując wielce kundmanów, co mu dochody pomnażali, zrobił mu nawet tę przyjemność, że po kilka razy zaprosił go na familijne uroczystości, które go nadspodziewanie do przedmiotu uwielbienia zbliżyły.

W dniu Bielana zatem nie chybił ani minuty, i w chwili gdy rodzina jubilera ruszyła z przed domu w najętą remizę, Seweryn, niepostrzeżony, o kilkaset kroków dalej, jechał w prześlicznym kabryolecie i wszelkich sił dobywał, aby ukrócić zapędy swego dzielnego, czystej krwi angielskiej gniadosza, który niepowstrzymywany, z dziesięć razy byłby powolny chód koni najętych prześcignął. Dopiero przy rogatkach Marymonckich wysiadł z swojego powozu, a rozstawieni tam z jego stajni masztalercze, podali mu niebawem ulubionego wierzchowca rasy wschodniej, przewanego Zawojem.

Jeździec z koniem tak ściśle stanowili z sobą całość, tak byli nawet duchem zespoleni, że prawdziwie nie wiemy od którego z nich rozpocząć nasz opis.

Oficer wyglądał przepysnie; ale i Zawój był wspaniały. Biały jak mléko, o jeleniej nodze, oku żywym i pojętnym, chrapie namiętnością rozognionym, odsadzie ogona prześlicznym, przedstawiał typ rumaka bojowego, na którego w dzień wielkiej bitwy nie powstydziliby się siaść i który z wielkich wodzów świata. Osiodłany był nie w prozaiczną uniformową kulbakę, ale w bogato złotem upstrzony rząd turecki, podłożony pięknym i gustownym błękitnym ze srebrem czaprakiem, a nakryty był od zakurzenia do chwili podania panu, prawdziwym perskim dywdykiem.

Wszystkie te wspaniałości uważała i podziwiała oddawna rodzina Justusów, patrząc przez okna wolno się toczącej karety. Nie uszły one naturalnie i oka pięknej kupcowej; z udanem więc tylko zadziwieniem, gdy Seweryn w największym pędzie dopadł strony powozu po której siedziała, powitała go wyrazami:

— Pan tutaj? tak rano? o tej porze? co pana tu sprowadziło?

Każdy z czytających łatwo się domyśli, że nie tu była dla młodego hrabiego sposobność tłumaczenia się, dlaczego rano a nie po obiedzie, jak wszyscy, jechał na Bielany; wolał więc udać że zapytania Małgorzaty nie dosłyszał, czy nawet podobno mruknął jakąś niezrozumiałą odpowiedź pod nosem, udając zajętego całkiem zregulowaniem biegu ognistego Zawoja, który koniecznie chciał inne konie prześcignąć.

Koń prawdziwie piękny, ma coś sympatycznego w sobie dla wszelkich stanów, dla wszelkiej płci i wieku; dlatego też nietylko przechodzący, ale i cała rodzina jubлера nie spuszczała z oka wierzchowca na którym siedział Seweryn. Dzieci podziwiała błyszczący czaprak i rząd na niego włożony. Pan Modest, przez nałóg, taksował wartość i wagę złota i srebra zużytego na to przystrojenie, przyczem najstarszemu synowi tłumaczył, jak każda część ryszunku się nazywa; słowem koń ten taki był piękny i dzielny, a przytém tak łagodny, tak spokojnie przy drzwiczkach karety kłusował, że nawet dostąpił dwa razy zaszczytu pogłaskania białą rączką pani Justusowej, przyczem mimowolnie oczy pięknej kupcowej spotkały się z rozpromienionym wzrokiem jej od lat tyłu wielbiciela, który dzisiaj jeszcze i tego doznał szczęścia, że po przybyciu na miejsce, przy wysiadaniu z karety, uczył tak miły sercu swemu ciężar wspierający się na jego ręce.

Raz zakreślony przez małżonka Grety program zabawy, najmniejszej nie mógł uleże zmianie; udao się więc do kościoła, po wysłuchaniu nabożeństwa zwiędziono klasztor, a następnie wesoła czeredka zasiadła u stołu w restauracji Anderliniego, do której to uczyt pan Modest sądził się w obowiązku i ciągle im towarzyszącego Seweryna zaprosić, pomimo mrugań i sygnałów ocznych szanownej swej małżonki; bo nie domyślając się wcale, że hrabia kocha się w pani Justusowej, uważał swoje zaprosiny za rzecz najnaturalniejszą w świecie; owszem, w przystępie dobrego humoru przybrał do towarzystwa dwóch jeszcze znajomych i wszystkich szampanem uraczył.

Niedarmo piękna Małgorzata była córką Ewy. Ona prawie zaraz spostrzegła uczucie, które najniewinniej widok jej wzbudził w sercu biédnego kadeta, a lubo ani razu nie dopuściła, aby jej wyznał swą miłość, oczy jej kobięce odgadywały całą głębię tej namiętności.

Tymczasem sala restauratora napełniła się znajomymi państwa Justusów, i znać było w twarzach przybyszów zdziwienie, na widok świetnie błyszczącego munduru w tak skromnym mieszczkańskim kółku, tém bardziej że prawie wszyscy znali hrabiego Seweryna, jako jednę z ozdób najbardziej arystokratycznych salonów Warszawy. Wszystko to mocno niepokoiło przenikliwą Małgorzatę. Zdawało jej się że nawet dostrzegła na niektórych twarzach dwuznaczne uśmiechy, które ją do reszty rozdrażniły. Przykrości te drobne odbiły się widocznie na całym jej usposobieniu; siedziała smutna, mało mówiąca, tak że Modest po razy kilka zapytywał ją, czy nie jest cierpiącą, że ogólniej wesołości nie dzieli. Z wielką też przyjemnością usłyszała głos męża, żądający od garsona rachunku i zaproponowanie przechadzki, dla lepszego strawienia obiadu. Całe towarzystwo udało się nad brzeg Wisły. Pocziwy jubiler chodził po nadbrzeżnym piasku z dziećmi i wyszukiwał im muszelek, a pani Justusowa, przeciw zwyczajowi swemu, bo nigdy nie odstępowała męża i dzieci, wymówiła się zmęczeniem i siadła na jednej z ławek górnej alei, w dosyć ustronnym miejscu.

Seweryn rozpromieniony był od radości i wszystko sobie na dobre tłumaczył.

— Alfons ma rację, mrucał pod nosem, niema jak być śmiałym z kobietami. Śmiałość jedna popłaca. One nie umieją ocenić delikatności; pierwszy krok odważniejszy więcj mnie do niej zbliżył, jak całe lata czulej rezygnacyi. Przy stole była smutna, roztargniona; dobry to znak. Po stole szuka samotności, to jeszcze lepiej. Dalej Sewerynie, nie bądźmy tylko tchórzem.

W chwili nawet kiedy pani Justusowa, z gracyą jej właściwą, rozsiadła się na ławie, zdawało mu się iż otrzymał jakby niedostrzeżony znak, aby obok niej zajął miejsce. Utwierdził go w tém mniemaniu jeszcze bardziej dziwny wyraz oczu nadobnej Małgorzaty, z którego najwyraźniej można było wyczytać roztargnienie, pomieszenie, niespokojność i chęć wynętrzenia się z uczuć jakie widocznie ją przepełniały. Usiadł więc nasz bohater obok niej, śmieliej jak zwykle, nieledwo dotykając się jej sukni; ale zdobyć się na wypowiedzenie tego co od lat tyłu sercem jego miotało, jakoś widocznie nie umiał.

Siedział więc, mając oczy wlepione w przedmiot ubóstwienia swego i milczał. Ona bacznie mu się przypatrywała, ale także nic nie mówiła. Położenie zaczynało być nieznośne dla obojga. Nakoniec czy oddziaływanie wina wypitego przy stole, czy przypomnienie przycinków Alfonsa, dodało zakochanemu tyle energii, że ośmielił się przerwać panujące milczenie oklepanem zapytaniem.

— Pani się wydaje cierpiącą?

— Nie panie, była sucha odpowiedź.

— Pani zamyślona, ciągnął dalej Seweryn.

— Tak hrabio, odrzekła Małgorzata.

— Czy można wiedzieć co jest przedmiotem tego zadumania?

— Nic łatwiejszego, odrzekła niedbale. Właśnie u pana chciałam się w tym względzie objaśnić.

Tu Seweryn poprawił się na siedzeniu, serce w nim gwałtowniej zakolało i mimowolnie przysunął się jeszcze bliżej.

— Panie hrabio, pytała dalej piękna jubilerka, najśłodszy tonem swego pieszczotliwego głosu, chciałam się od pana dowiedzieć, co znaczą te wyrazy przez panów tak często używane: słowo honoru oficerskie.

— Pani, odrzekł wielbiciel, nieco zdziwiony tokiem jaki rozmowa ich przybierała, jest to najświętsza nasza przysięga, jaka tylko wyrzeczona być może.

— Więc gdybym wzięła, przypuszczam, od kogo owo święte słowo, to mogłabym być pewną dotrzymania przyrzeczenia, lub powierzonych tajemnic?

— Pani, odrzekł z zapałem szlachetny młodzian, taki coby słowa honoru oficerskiego nie dotrzymał, byłby niktzemny i nie mógłby dalej z nami służyć, okryty wieczną hańbą.

— A gdybym ja żądała od pana spełnienia jakiej rzeczy, lub dochowania tajemnicy, pod słowem honoru oficerskim, czybyś pan, zapytała patrząc mu bystro w oczy, zawahał się na chwilę to dla mnie uczynić?

— O pani! zawołał Seweryn, czyż godzi się powątpiewać? czyż jest co na świecie, czegobym dla ciebie nie zrobił? Podobne uważaj z góry za spełnione; na niepodobne może potrzeba będzie czasu, środków, ale choćby życiem przyszło przypłacić...

— Ja żądam tylko rzeczy podobnych, przerwała Małgorzata. Więc mam pańskie słowo?

— Masz, po tysiąc razy masz, najdroższy mój aniele! odrzekł rozpromieniony Seweryn.

— Nie omyliłam się więc. Przekonaną zawsze byłam, że pan mnie prawdziwie kochasz, że mnie zaufasz, żeś czysty w uczuciu i szlachetny.

To rzekłszy, podała mu rękę. Rękę tę uniósł do ust rozkochany. Ile na niej wycisnął namiętnych pocałunków i co się z nim wtedy działo, powiedzieć nie możemy. Był to szal, gorączka bez granic, bo uczył że ta ręka drżała, że mu nie była podaną obojętnie.

Wkrótce jednak ręka cofnęła się nazad. Seweryn usłyszał jakby tłumione łkania i coś nakształt łez zrosiło piękne oczy Małgorzaty, kiedy głosem wyrażającym smutek zapytała:

— Ale hrabio, wieszże przynajmniej na co wzięłam twoje słowo?

— Nie wiem, odpowiedział zagadniony, ale nie waham się go powtórzyć. Rozkazuju, najdroższy aniele, a ja wypełnię.

— Panie hrabio, rzekła Justusowa po małej pauzie, głosem który dowodził, że walka wewnętrzna w niej już skończona. Daleś słowo że żądanie moje spełnisz. Otóż ja żądam, abyś już odtąd nie zajmował się temi myślami, które cię od rana niepokoją, a które sercem wyczytałam na twojej twarzy.

— Jaktó? zapytał, nie rozumiejąc zdziwiony Seweryn; wytłumacz mi znaczenie słów twoich, drogi aniele!

I znów pochwycił Małgorzatę za rękę. Ale ta mu ją natychmiast wyrwała, powstając z zajmowanej ławki i szybko odchodząc.

Gdy się na sam kraniec wyniosłości panującej nad Wisłą zbliżyli, zdawała się swobodniej oddychać. Właśnie też i pan Modest z dziećmi wracał ku nim pod górę. Widok ten jakby orzeźwił piekna, w tej chwili jeszcze piękniejszą Małgorzatę.

Wyprostowawszy się dumnie, rzekła do osłupiałego towarzysza uroczystym i poważnym głosem, wskazując na męża i dzieci:

— Hrabio Sewerynie, w obec Boga i ludzi temu oto znacnemu człowiekowi dałam moje słowo honoru oficerskie, że go uszczęśliwić będę aż do śmierci. Gdybym, panie hrabio, uchybiła w czém temu zobowiązaniu, czyżbyś mógł mnie kochać, uważając za niktzemną i podłą?

Seweryn milczał, opuściwszy głowę.

— Panie hrabio, mówiła dalej ze wzruszeniem pani Justusowa: honor mieszcżanki także coś znaczy, a ty od rana nastawałeś na niego, nie umiejąc go uszanować. Zmusiłeś mnie zatem do wymożenia na tobie słowa, które jakkolwiek niebacznie dane, dozwala mi żądać od ciebie wszystkiego co mi się spodoba. Otóż żądam, hrabio Sewerynie, dodała stanowczym głosem, abyś od dnia dzisiejszego unikał mego widoku. Jestto jedyny dowód miłości którego po tobie oczekuję. Wierzaj mi, lepiej nam obojgu z tém będzie.

Seweryn nie mógł się oprzeć wzruszeniu; przykląkł w oczach męża, nie nazbyt oddalonego, i ucałował skraj jej sukni, szepejąc zeicha:

— Jesteś świętą i świętą twoja wola.

— To moje skarby i szczęście jedyne na ziemi, zakończyła Justusowa, tuląc do siebie przybyłe dzieci, które się pouczeptały w kołó niej, podczas gdy zacny pan Modest sprzeczał się z drugim spacerującym o to, jaki jest obecnie stopień ciepła wody wiślaniej. Doszedłszy do miejsca, gdzie dziwny ten dramat został odegrany, jubiler dobył przepyszne londyńskiego repetiera, a zobaczywszy na nim godzinę, zawołał:

— Greto, czas do domu. Pożegnajmy tych panów, bo już późno, a stara nasza matka mogłaby być o nas niespokojna.

Na te słowa towarzystwo rozeszło się w różne strony.

Co się działo z biédnym Sewerynem, tego pióro wyrazić nie zdoła. Nie chciał już dosięść przygotowanego przez mastalerzy drugiego, czarnego jak kruk ogiera, na którym zamierzał obok bóstwa swego hasając, do Warszawy wracać; nie chciał nawet się do swojego kabrioletu, bo nie ufał uwadze swojej w powożeniu; wołał pierwszą lepszą złapać dorózkę i w niej dojechać do domu, dawszy rozstawionej po drodze służbie rozkaz wracania zwolna do mieszkania jego rodziców, gdzie były jego stajnie.

IV.

W rok później jakiś stary wiarus, o olbrzymich jak szcztotka do zmiatania wąsach, dopytywał się pilnie o mieszkanie pani Justusowej. Wpuszczony przez nią do sklepu, oddał jej list starannie w chustkę zawinięty, a obok tego prześliczne, z szyldkretu wyrobione pudełko, nasadzone perłową macicą i drogiemi kamieniami. List zawierał tylko te słowa:

„Śmiertelnie ugodzony kulą, zwracam ci jedyną rzecz, co smutek mój niekiedy słodziła. Gdy list odbierzesz, już ja żyć nie będę. Módl się za moją duszę, drogi aniele!! Seweryn.“

W pudełeczku była owa rękawiczka, co ją zmarły hrabia, bez pozwolenia właścicielki, przed pięciu laty zabrał, całą krwią jego przesiąkniętą.

V.

W trzydzieści jeszcze lat później, odprawiano zawsze w kościele bernardynów o godzinie szóstej rano mszę żałobną, za duszę śp. hrabiego Seweryna. Na tej mszy w końcu nikt już nie bywał, tylko kobieta czarno ubrana, mocno zakwefiona, o rysach twarzy jeszcze pięknych i nadobnych. Babulki z krućty, co wszystkich znają, utrzymywały, że to jubilerka pani Justusowa. Czy było to prawdą, nie mogłem sprawdzić, głównie dla tej przyczyny, że nigdy tak rano w kościele nie bywam.

KONIEC.